Wpisano do kartoteki czytelników
I Miejskiej wypożyczalni książek
dla dorosłych
dn. ____ 19__ r.

W numerze m. in.:

Z. LISSA
M. JASTRUN
(przekłady z Puszkina)
J. KOTT
S. WYGODZKI
A. DEMKOWSKA
J. KOWALEWSKI

KUŹNICA

Cena 25 zł — 8 stron | Warszawa, 25 września 1949 r. | Nr 38 (210) Rok V

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

NA POSŁA PAPIESKIEGO

Pośle Papieski Rzymskiego [narodu
Uczysz nas drogi, a sam [chybiasz brodu.
Nawracaj lepiej niźli twój [woźnica,
Strzeż nas tam zawieść, gdzie [płacz i tęsknica.

JAN KOCHANOWSKI

JACEK BOCHEŃSKI

FESTIWAL MŁODOŚCI

W zimie roku 1944/45, kiedy w stolicy Węgier nie ucichły jeszcze odgłosy frontowej kanonady, zgłosił się do dowództwa radzieckiego w Budzie czterdziestosześcioletni, siwiejący już robotnik, o polskim nazwisku Jan Łukasik, i poprosił, aby mu pozwolono zająć się rozładowywaniem min i usuwaniem niemieckich niewypałów, ukrytych w zabudowaniach czy ruinach starego miasta. Petent był z zawodu po trosze górnikiem, po trosze majstrem rzeźnickim. Jako górnik umiał obchodzić się z materiałami wybuchowymi. Dowództwo radzieckie wydało potrzebne zezwolenia i przydzieliło do pomocy Łukasikowi dwudziestu trzech jeńców węgierskich, b. faszystów. Przedsiębiorczy ochotnik okazał się nielada mistrzem minerskiego rzemiosła. W ciągu kilkunastu tygodni rozładował 45 tysięcy bomb i min, czym ustanowił jakoby światowy rekord w tej zgoła niebezpiecznej konkurencji. Wszystko to działo się w roku 1945 i tak właśnie zaczęła się odbudowa Budapesztu. Pięćdziesięcioletni dzisiaj Jan Łukasik, przodownik i racjonalizator pracy w budapesztańskiej przetwórni mięsa, nadmienia, że członków jego załogi zwolniono niebawem w uznaniu zasług dla odbudowy, a on sam... Stąd właśnie pochodzi najpiękniejsza pamiątka Łukasika. „Przeszedłem do historii" — mówi o sobie nie bez słuszności. „Historia o mnie pisze". „Ujjáépitö Magyarok" znaczy „Węgrzy, którzy odbudowali swój kraj" i taki jest tytuł książki pamiątkowej o węgierskich bohaterach odbudowy, gdzie jeden z rozdziałów poświęcono Łukasikowi. „A tu są artykuły o mnie i wywiady w gazetach, a tu pismo od Matyasa Rakosi'ego, a tu listy dziękczynne od wszystkich członków rządu".

Budapeszt: Rozbiórka ruin.

„No, dobrze — mówię — ale czy nie baliście się wtedy pracować?" „Bałem się. Czasem była to praca akrobatyczna, na wysokich piętrach, między niebem a ziemią. Niosłem te miny na rękach i na szyi, obchodziłem się z nimi ostrożnie jak z jajkiem, a zdarzało się, że rozładowałem w ciągu dnia cztery tysiące sztuk. Chcieli mi za to płacić, ale nie brałem pieniędzy".

W chwili, gdy Jan Łukasik przystępował w zniszczonej Budzie do uprzątania min, statystycy węgierscy notowali: straty w przemyśle krajowym wynoszą 38%, w rolnictwie 21%, w budynkach mieszkalnych 18%, w pogłowiu bydła 44%, w nierogaciźnie 78%, w parowozach 69%, ogólne straty w majątku narodowym sięgają 45%, co równa się wartości 4.330 milionów dolarów.

Powstająca demokracja ludowa leczy swój kraj dobroczynną chirurgią reform społecznych. Feudalne dziedzictwo Horthy'ego, gdzie wielcy obszarnicy, stanowiący 0,2% ludności, posiadali 43% ziemi; gdzie równocześnie przymierało głodem 700 tysięcy bezrolnych nędzarzy, przeżywa już w marcu 1945 r. reformę rolną, dzięki której 34% ziemi zmienia właścicieli. W styczniu 1946 następuje upaństwowienie kopalni węgla, w listopadzie przechodzi pod kontrolę państwa 5 największych zakładów ciężkiego przemysłu, w rok później ręka budującego socjalizmu przejmuje wielkie banki, wreszcie w marcu 1948 upaństwowione zostają wszystkie zakłady przemysłowe zatrudniające ponad 100 pracowników.

Walka o demokrację ludową była trudna i dramatyczna. Wpływy reakcji i penetracja angloamerykańskiej dywersji sięgały tu głębiej niż w jakimkolwiek innym kraju Europy wschodniej. Nie na darmo grasował tam przecież Horthy. I nie na darmo po dziś dzień w ciemnych winiarniach Budapesztu zredukowany urzędnik Horthy'ego może sobie chwalić „tamten rząd" i mówić: „Pan skąd przyjechał?" „Z Polski". „Gdzie Pan mieszka w Polsce?" „W Warszawie". „Znam Warszawę. Ich habe Warschau angestürmt. Zdobywałem ją podczas powstania". A towarzysz zredukowanego radcy starego regime'u obrzuci cudzoziemca podejrzliwym wzrokiem i szepnie porozumiewawczo: „To demokrata".

W tej sytuacji społecznej silna i świadoma klasa robotnicza Węgier, postępowe chłopstwo i postępowa inteligencja, setki i tysiące bohaterskich Łukasików, tysiące i setki tysięcy zapalonej młodzieży dokonały, że już w roku 1948 poważnie przekroczono przedwojenną produkcję węgla, że liczący 24 tys. ha obszar Hortobàgy w Puszcie węgierskiej zmienił się dzięki przeprowadzonym nawodnieniom w ziemię rodzącą ryż, że spośród wysadzonych w powietrze mostów Budapesztu uruchomiono dotychczas cztery, piąty otwarty zostanie w listopadzie, a szósty w roku przyszłym, że węgierski plan trzyletni zrealizowano w ciągu dwu i pół roku.

„Jak ci się podoba Budapeszt?" — pytali mnie Węgrzy, najgościnniejsi ludzie pod słońcem. „To piękne miasto" — odpowiedziałem szczerze. „Ono było piękne i jeszcze takie nie jest, jak było kiedyś" — zastrzegali się gospodarze. Tymczasem przybysz z Warszawy musi dobrze natrudzić się, by dostrzec dzisiaj w Budapeszcie ślady zniszczeń wojennych. Prawda, że nie może być porównania pomiędzy spustoszeniem Warszawy po powstaniu i stanem Budapesztu z roku 1945, ale faktem jest, że straty wynosiły 30%, a dziś stolica Ludowej Republiki Węgierskiej jest znów miastem jasnym, czystym, pełnym neonowych świateł, pedantycznie utrzymanych ogrodów, bulwarowych kawiarni pod gołym niebem, basenów kąpielowych, a nadto miastem sowicie zaopatrzonych sklepów państwowych i prywatnych, wesołej śpiewającej młodzieży i powszechnego entuzjazmu.

Przeciętny miesięczny zarobek zwykłego robotnika wynosi 500 — 800 forintów, z tym, że zarobki przodowników pracy np. w przemyśle metalurgicznym sięgają dwu i trzech tysięcy forintów. Kilogram chlega kosztuje przy tym 1,60 for., kilogram mięsa, zależnie od gatunku, ma cenę 8 — 12 for., kilogram kiełbasy 15 for., boczku 30 for., cukru 4,50 for., winogron 1,90 for., papryki 1,58 for. Materiały tekstylne i skórzane są proporcjonalnie tańsze niż w Polsce, a więc stopa życiowa pracujących jest stosunkowo wysoka. Ideą nowego, pięcioletniego planu gospodarczego będzie obok przyśpieszenia industrializacji oraz rozwinięcia przemysłu ciężkiego i maszynowego, wydatne podniesienie produkcji rolniczej i dalsza poprawa warunków bytowych społeczeństwa. Najpopularniejszy człowiek Węgier, którego nazwisko z zapałem skandują setki tysięcy ludzi, przywódca Węgierskiej Partii Pracujących, Matyas Rakosi, w ten sposób mówił o przyszłości węgierskiej wsi: „Naszym celem jest, aby człowiek pracujący był udziałowcem dobrodziejstw kultury nie tylko w mieście ale i na wsi. Niech jego dom będzie zdrowy, godny człowieka, zaopatrzony w światło elektryczne i wodociąg. Jego dzieci powinny chodzić do szkoły średniej albo wyższej. Gdy zachoruje, musi otrzymać dobrego lekarza. Gdy jego żona będzie rodzić, winna mieć do dyspozycji klinikę czy szpital dla położnic. Niech człowiek pracy czyta książki, gazety, słucha radia, niech wieś ma swoje kino. Każdy pracujący na roli winien mieć do rozporządzenia każdą maszynę, która ulży jego pracy i wzbogaci jej wyniki".

Czy ci, do których mowa Rakosi'ego, sprzed roku zresztą, była adresowana, wierzą jego słowom? Jak to trzeba powiedzieć, aby w ich wiarę uwierzył polski czytelnik? W fabryce tekstylnej, na przedmieściach Budapesztu, witały nas kilkuletnie dzieci pozdrowieniem „Szabadság", co znaczy „wolność". Gdy podczas Światowego Festiwalu Młodzieży zaszedłem na dworzec zapytać o pociąg do Pragi, miejscowy kolejarz nie umiał dać mi wyczerpujących informacji, to też zadzwonił do kolegi, a przywitał się z nim przez telefon słowami „éljen á Vit", co znaczy „niech żyje Festiwal". Na placach i w ogrodach Budapesztu gromadziły się tłumy chłopców i dziewcząt, ustawiały w koła, klaskały, tańczyły i śpiewały do taktu prostą piosenkę ze słowami nowymi, mówiącymi o braterstwie wolnej młodzieży świata. Trwało to do późnej nocy, melodia ludowej piosenki z nowym tekstem przenikała ściany domów, rozbrzmiewała z góry Gellerta i z Placu Bohaterów, płynęła statkiem po Dunaju. Nie umiem lepiej wytłumaczyć, dlaczego społeczeństwo, w którym dzieją się te zjawiska, naprawdę ufa słowom Rakosi'ego, ale z tych trzech przykładów powinno to już wynikać. Coś co w czasie mojego pobytu na Węgrzech docierało do mnie w sposób najbardziej oczywisty i bezpośredni, to był nastrój, masowy entuzjazm. „Manifestacja na miarę Moskwy" — powiedział ktoś ze świadków uroczystości otwarcia Festiwalu na stadionie Ujpest. Stadion, jak stadion, pomieścił dobre kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Gdy ukazała się delegacja Komsomołu, kilkadziesiąt tysięcy ludzi powstało z miejsc i wołało przez kilka minut „Éljen Stalin, éljen á Komszomol!". Ale ulice Budapesztu pomieściły więcej niż kilkadziesiąt tysięcy publiczności. Gdy delegacje festiwalowe jechały przez miasto na stadion, zażywni panowie, stojący na chodnikach, wyjmowali fajki z ust i krzyczeli nie gorzej od młodych robotników z organizacji „Szit". Tramwajarze potrząsali pięściami zaciśniętymi na znak komunistycznego pozdrowienia, matki podrzucały w górę dzieci i chusteczki, śniade dziewczęta rozdawały kwiaty, a wszyscy ściskali nam ręce i powtarzali rytmicznie, chórem: „Pokój, Stalin, Bierut, Rakosi..."

*

„Mieszkam teraz w Strassburgu — opowiada dwudziestopięcioletnia Francuzka. — Studiuję romanistykę i pracuję w redakcji studenckiego serwisu prasowego, a także piszę w miejscowej „Humanité". Ojciec jest drobnym kupcem, ale z jego dochodów nie możemy wyżyć. Wszyscy jesteśmy bardzo biedni. Prasa partyjna nie wypłaca nam żadnych honorariów".

Dwudziestopięcioletnia Anette dziwi się, że mieszkańcy Budapesztu zbierają autografy od wszystkich cudzoziemców, bo w czasie paryskiego Kongresu Pokoju poszukiwany był tylko Picasso albo Pablo Neruda, mówi o książce Rogera Vaillanda „Dziwna zabawa", że tak było w rzeczywistości, chciałaby zobaczyć Polskę. W partii pracuje od siedmiu lat. Po ukończeniu szkoły rodzice o poglądach conajmniej konserwatywnych „trzymali ją w domu" i nie pozwalali wychodzić. Był wtedy rok 1942. Poszła pewnego razu na spacer i wróciła dopiero po trzech miesiącach, mając już nawiązane kontakty z partią i Ruchem Oporu. Mieszkała zasadniczo w Lyonie, ale była łączniczką polityczną, kontrolującą poszczególne grupy w terenie.

Gdy rozmowa schodzi na temat Festiwalu i Budapesztu, okazuje się, że dwudziestopięcioletnia Anette i „w ogóle my wszyscy jesteśmy zachwyceni odbudową miasta". We Francji istnieje przecież bezrobocie, a nie ma robót publicznych, chociaż znalazłby się budulec i warunki gospodarcze do podjęcia prac. Albo opieka nad dzieckiem! Żłobki przy fabrykach, ogrody, dziecińce, wszystko czego nie ma we Francji. Tam rodzice, wróciwszy z pracy, dają dzieciom na kino, a one idą na jakibądź film. Czy w Polsce też jest taka opieka? A czy odbudowa Warszawy postępuje równie szybko?

Umawiamy się więc do Polski na oglądanie dziecińców i Trasy W—Z, ale niestety po kilku dniach Anette oświadcza, że dostała wprawdzie polską wizę, jednak organizacja partyjna nie pozwala jej nigdzie jechać. Anette musi natychmiast wracać do Strassburga.

Budapeszt: Na górze Gellerta.

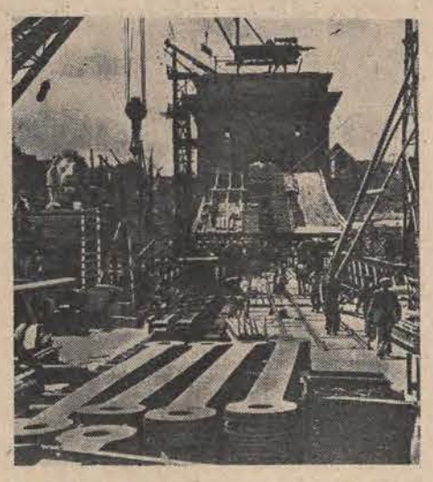

Budapeszt: Odbudowa mostu łańcuchowego na Dunaju.

Młody Węgier, Tóth László, robotnik z fabryki kawy „Franck", twierdzi, że najpiękniejsze jego przeżycia pochodzą z okresu, gdy będąc już członkiem Węgierskiej Partii Socjalistycznej zauważył u swych organizacyjnych kolegów niechętny stosunek do komunistów i zaczął z nim walczyć. Nie było jeszcze wówczas na Węgrzech jednolitej organizacji młodzieży robotniczej „Szit", ale w poszczególnych zakładach pracy rozpoczęło się właśnie współzawodnictwo, mające na celu utworzenie takiej organizacji. Szczupły i mizernie wyglądający László stał się wkrótce aktywistą politycznym. Agitował, przemawiał, przełamywał zadawnione waśnie. I oto powstaje w fabryce „Franck" koło organizacyjne „Szit", a jego, dziewiętnastoletniego László, wybierają na sekretarza, mimo konkurencji wielu poważniejszych działaczy! Potem przychodzi praca kulturalno-oświatowa w kole. László ją prowadzi. Wyróżnia się. Zostaje skierowany na sześciotygodniowy kurs dla pracowników politycznych. Poznaje z grubsza zasady marksizmu. „Oczy mi się wtedy otworzyły" — konkluduje — „Chcę już na zawsze zostać w robocie politycznej wśród kolegów. Chcę się uczyć. Dawniej nie miałem warunków. Ojciec był stolarzem, a w domu trzeba było wyżywić pięcioro rodzeństwa. Teraz mam możliwości. To są przecież nasze osiągnięcia. Osiągnięcia demokracji ludowej. Dobrze, że młodzież zachodu i krajów kolonialnych widzi na Festiwalu, cośmy już potrafili zrobić. Wrócą do domów i opowiedzą innym. Pojadą tam silniejsi i bardziej zahartowani walczyć o pokój na świecie" — Tóth László, delegat węgierski na Kongres SFMD, kończy swoje opowiadanie językiem politycznego aktywisty.

A gdy z portfela wypada mu amatorskie zdjęcie młodej dziewczyny, na moje pytanie „kto to?" zastanawia się przez chwilę i odpowiada po namyśle „Narzeczona". — „Pobierzecie się?". — „Znamy się od sześciu lat, ale ona jest jeszcze za młoda, żebym się z nią ożenił".

*

Rozmowę z wykładowcą politycznym wiejskiej szkoły spod Drezna, Niemcem, Alfredem Delheimem, odbyłem w nocy na placu Kossutha. Pierwsze zdanie, jakie powiedział, było prośbą o ogień, drugie pytanie, skąd pochodzę, trzecie wstępem do zwierzeń politycznych.

„Mamy wypróbowany sposób ustalania wartości ideologicznej naszych towarzyszy. Traktujemy tę sprawę bardzo poważnie. Każemy im wypowiadać się na temat granicy z Polską. Jeśli to jest nasz człowiek, taki naprawdę, na wskroś nasz, będzie mówił z żarliwością, że granica na Odrze i Nysie to granica interesu demokratycznych Niemiec, granica przyjaźni z Polską i Związkiem Radzieckim, granica pokoju, która nie może być naruszona. Ale zamaskowany czy jawny nacjonalista odpowie, że granica na Odrze i Nysie jest prowizoryczną linią demarkacyjną, dzielącą tereny strefy wschodniej od terenów powierzonych Polsce pod zarząd. I jakże mamy z tymi ludźmi mówić na przykład o jedności Niemiec? Ja sam jestem przesiedleńcem z Dolnego Śląska. I ja właśnie zdaję sobie sprawę, że gdybym w pewnych środowiskach urządzając prelekcję na temat jedności, dał na afiszu suchy tytuł „O jedności Niemiec", przyszło by na odczyt nie więcej niż kilkanaście osób. Ale my musimy tych ludzi przekonać. Dlatego daję na afiszu tytuł „Podróż przez Niemcy". A potem pokazuję przezrocza z Nadrenii. Chcielibyście tam pojechać? Chcielibyśmy. No, to zróbmy wycieczkę. Ale przecież nie możemy, bo nie mamy wiz. Ale dlaczego wizy? Bo granice stref. Acha! Czy to jest słuszne, czy poszczególne strefy są gospodarczo zdolne do życia? Nie. Więc trzeba gospodarczej i politycznej jedności Niemiec. Tę agitację robi się z wielkim trudem, ale robi się. O, wasz naród jest wspaniały. Polska jest wspaniała. Wasza odbudowa, wasi robotnicy, wasz zapał. U was nie ma tych wszystkich problemów, z którymi my musimy się borykać".

Obok młodego agitatora, zastanawiającego się nad skutecznością metod propagandowych, pojawia się dwudziestoletni robotnik z północnych Niemiec. Znajduje natychmiast interlokutora w postaci jakiegoś Węgra. Węgier pyta:

(Dokończenie na str. 2)

Budapeszt: Parlament.

ZOFIA LISSA

„Pierwszy" etap

Po zjeździe kompozytorów polskich w Łagowie

W zachodzących dziś przemianach kulturalnych różny może być sens i waga zjazdów, konferencyj, zbiorowych obrad, dyskusyj. Widzieliśmy to najlepiej po kilku walnych zjazdach Związku Kompozytorów Polskich, odbytych już po wojnie; każdemu z nich przypadała dość odmienna rola w ogólnym łożysku tego procesu przemian, jakim przebiegał rozwój twórczości muzycznej w Polsce powojennej.

Sierpniowy zjazd, a raczej „robocza konferencja" kompozytorów i muzykologów polskich w Łagowie Lubuskim, był — ośmielę się twierdzić, w pewnym sensie przełomowy. Przyszłość wykaże czy — jak to się wszystkim uczestnikom zjazdu wydawało — istotnie był punktem zwrotnym w rozwoju polskiej twórczości muzycznej po wojnie.

W odróżnieniu od poprzednich zjazdów i konferencyj — nie był to zjazd o charakterze programowo-postulatywnym — gdzieby się ścierały i walczyły jakieś przeciwstawne kierunki czy stanowiska. Nie był też zjazdem tego typu, gdzie jedni mówią, a inni — myślą swoje, ale milczą; gdzie nie dochodzi do nieporozumień, ale też nie ma porozumienia.

Nie, Łagów był dla Związku Kompozytorów Polskich i Muzykologów raczej zamknięciem pewnego etapu rozwojowego. Był zamknięciem etapu chwiejności i eklektyzmu myślowego, nieustalenia pojęć i kryteriów estetycznych, niejasnego stawiania problematyki nowego stylu kompozytorskiego, a raczej — niejasnego widzenia kompleksu zagadnień współczesnej twórczości muzycznej, etapu poszukiwań i wewnętrznego borykania się kompozytorów „szukających swego miejsca w epoce". Był też momentem ostatecznego naprostowania się nas, muzykologów, którzy w poszukiwaniach teoretycznego uzasadnienia postulatów, wysuwanych przez naszą rzeczywistość, w próbach historycznego wyjaśnienia genezy wielu zjawisk kulturalnych, nie zawsze szukali rozwiązań na właściwych drogach, nie zawsze umieli się ustrzec od omyłek metodologicznych czy merytorycznych.

Łagów był zamknięciem pierwszego, przejściowego etapu w powojennej kulturze muzycznej. Był końcem przejścia — ale od czego i ku czemu?

Od czego — wszyscy wiemy: od ideologii muzycznej okresu międzywojennego z jej izolacją twórcy od społeczeństwa, z jej poszukiwaniem prawdy artystycznej w odosobnionych, zawiłych, abstrakcyjnych konstrukcjach dźwiękowych, z jej antyemocjonalnym nastawieniem, z d e h u m a n i z a c j ą sztuki, ważnej samej w sobie tylko, a nie tworzonej dla człowieka, konkretnego człowieka swojego pokolenia i środowiska; z jej koncentracją na zagadnieniach techniki kompozytorskiej, z jej nastawieniem na elitarnego słuchacza, fikcyjnego słuchacza „jutra"; z jej nastrojem katastrofizmu, z ucieczką w mistycyzm, z poczuciem bezsensu życia, z postawą kapitulacji wobec „losu" człowieka, zagubionego w swojej „podróży do kresu nocy".

Dla kompozytorów polskich tego międzywojennego okresu, okresu post-Szymanowskiego, był to szczególnie skomplikowany etap: z jednej strony był to okres poszukiwania doskonałości technicznej — za wskazaniami Karola Szymanowskiego, na zachodzie, głównie w Paryżu; z drugiej strony — okres coraz większego odrywania się od własnego środowiska narodowego, okres pogrążania się w kosmopolityzmie muzycznym.

Podczas gdy „zachód", z którego oni czerpali swoją wiedzę muzyczną, umiejętności techniczne i ideologię artystyczną, wyrosły na wielowiekowej wybujałej kulturze muzycznej Francji, Niemiec, Austrii — kryzys swój przeżywał jako końcowy etap długotrwałego dawniejszego rozkwitu, kompozytorzy polscy byli w tej atmosferze kryzysowej inaczej ustawieni: brali oni zjawiska kryzysu na serio, jako wyraz najnowszego, „współczesnego", najbardziej wysublimowanego „widzenia świata". Kontakt z tą rozpadającą się w swych przejawach kulturą był dla nich okresem nadrabiania zaległości historycznych, okresem „doganiania" Europy pod względem techniki, rzemiosła kompozytorskiego.

Estetykę kryzysu przyjmowali oni nie tylko jednak dlatego, że ich własna estetyka, normy ich środowiska były artystycznie słabsze od paryskich. Poddawali się oni jej dlatego także, że ich mentalność urabiały te same nastroje ogólne, ten sam klimat ideologiczny, który tam, na zachodzie rodził „kwiaty zła", sztukę dekadenckiego odczuwania i wyrażania świata.

Polska czołówka kompozytorska okresu międzywojennego, wędrująca do ówczesnej „Mekki" muzycznej, do Paryża — czegoś innego od niego oczekiwała, coś innego w nim zastawała, a wracając do kraju ze swymi zdobyczami — pod wieloma względami zawisała w próżni.

W próżni materialnej — bo nikt z kompozytorów nie mógł nawet myśleć o tym, ażeby żyć ze swojej twórczości. W próżni narodowej — bo pomiędzy ich kosmopolitycznymi już wtedy kategoriami myślenia muzycznego, a tym, co zastawali w kraju — ziała przepaść jeszcze większa niż ta, jaką dwadzieścia lat wcześniej odczuł Szymanowski. W próżni społecznej — bo ze swoją wysublimowaną muzyką mało komu byli potrzebni, rzadko kiedy grywani i drukowani. Nikt od nich niczego nie chciał, niczego nie oczekiwał.

Narastających obok siebie sił społecznych nie rozumieli i bali się ich. Zbyt wyłącznie skoncentrowani na sprawach swego „rzemiosła artystycznego", zbyt dalecy od praw rządzących życiem — nie byli dość mocni, by dokonać wyboru między dwoma wyraźnie przeciwstawnymi nurtami tego życia, których walka decydowała o przyszłym obliczu ich epoki. Poddawali się nucie dominującej — estetyce piękna dla nielicznych wybranych słuchaczy, dla elity; wyrażali swą sztuką nastroje panujące w ich środowisku, a wyznaczone nurtem „kończącej się epoki", przeżycia, które były wyrazem bezpłodnej negacji swojej rzeczywistości. Nadawali tej negacji kształt rewolucji form artystycznych, zrywając coraz wyraźniej z kanonami estetycznymi przeszłości, ale szukanie nowych form zastępowało im jedynie szukanie nowych treści. Ale w życiu tych nowych treści odnaleźć nie umieli.

Kontemplacja stwarzanych form dźwiękowych była dla nich jedyną kompensatą poczucia pustki tego życia, jedyną wartością stałą — jak im się wydawało — „wieczną" i autonomiczną.

Z takimi mniej więcej tradycjami, przechowanymi skrzętnie przez okres okupacji i wzmożonymi jeszcze przeżyciami okupacyjnymi — weszła nasza czołówka kompozytorska w okres powojenny.

Teraz odrazu okazało się, że kompozytorzy polscy s ą społeczeństwu potrzebni. Że państwo chce się o nich zatroszczyć, że ich działalność interesuje najwyższe czynniki i instancje, że jest przedmiotem rozmów, rozmyślań, projektów.

Ale zarazem okazało się, że to społeczeństwo, które się zainteresowało kompozytorami, chce od nich c z e g o ś i n n e g o, niż oni mogą i chcą mu dać.

Postulaty, z jakimi okres wyzwolenia podszedł do kompozytorów polskich były im wpierw niezrozumiałe i obce, potem — w ich pojęciu — narzucone nieorganicznie, od zewnątrz ich indywidualnej i zbiorowej linii rozwojowej. Negatywna ocena dnia wczorajszego, „ich" dnia wczorajszego, z którego wyrośli, który kultywowali w pamięci jako okres nareszcie „zeuropeizowania" muzyki polskiej, stanięcia na gruncie światowych osiągnięć technicznych — ocena, jaką przynosiła ze sobą atmosfera ideologiczna Polski powojennej była dla wielu z nich — nazywajmy rzeczy po imieniu — świętokradztwem wobec tego wszystkiego, co czcili, co uważali za nieprzemijające wartości estetyczne, a w każdym razie za niewzruszalne wartości i kanony swego pokolenia. Bez większej i szerszej perspektywy historycznej istotnie trudno było tu dojrzeć historyczną relatywność „zdobyczy" okresu międzywojennego w muzyce.

Obroną tych zdobyczy i wartości przed nacierającą na nich nową rzeczywistością, obroną — stopniowo prowadzoną z coraz mniejszym przekonaniem, z coraz większym zrozumieniem tej relatywności, obroną coraz bardziej kruszoną przez samo życie — był właśnie miniony etap 5-letni; pierwszy etap powojenny z jego dyskusjami i zjazdami, z jego kontynuacją dawnej linii w twórczości i częściowo też, tej samej linii w teorii; z jego dojrzewaniem wpierw werbalnym, deklaratywnym i powolnie dokonującym się przejściem od słów do czynów tj. do zmiany uprawianych form i stylu tych form.

Zjazd Łagowski dokonał tu ostatecznego cięcia chirurgicznego — obnażył właśnie p r z e m i j a l n o ś ć tych wartości, ich funkcyjną zależność od życia i jego przemian. Co więcej — uwydatnił ich nieaktualność. Wydobył na powierzchnię świadomych przemyśleń i sformułowań, na płaszczyznę ostrej analizy historycznej, marksistowskiej — to wszystko, co owinięte w stare nawyki myślowe, urazy, uprzedzenia, kłębiło się tuż pod powierzchnią emocjonalnego życia kompozytorów i muzykologów.

Można śmiało powiedzieć, że Łagów był pewnego rodzaju „katharsis" kompozytorskim. Do tego aktu byli jednak kompozytorzy i teoretycy już przygotowani: 5-letni nacisk samego życia, jego postulatów, jego potrzeb konkretnych, siła dyskusyj ideologicznych kompozytorów radzieckich, wszystko to, co codziennie docierało do ich własnego życia i do ich własnej twórczości — przygotowały już nasze dojrzewanie. Teraz po raz pierwszy tak głęboko, poważnie i uczciwie musieliśmy te sprawy przed sobą postawić. Kompozytorzy zmuszeni zostali do tego, ażeby spojrzeć o d z e w n ą t r z na swoje sprawy wewnętrzne, najbardziej osobiste i skryte — na swoją twórczość, na sam proces twórczy i na siły, które go wyznaczają. Zmuszeni zostali do tego, by pojąć siebie samych i sprawy swojej twórczości jako zjawiska h i s t o r y c z n e a nie tylko biologiczne.

Dzięki rzadko spotykanej na tego rodzaju zjazdach atmosferze powagi i poczucia odpowiedzialności za wyniki swych przemyśleń — wspólnym wysiłkiem zdołali stanąć na tym archimedesowym punkcie, z którego można było dojrzeć jakie siły historyczne zawsze kształtują twórczość człowieka, a więc i twórczość muzyczną. Kompozytorzy zrozumieli, że i oni, będąc twórcami historii na pewnym jej odcinku, są zarazem p r z e d m i o t e m tej historii, podlegają działaniu jej sił.

Emocjonalne dojrzewanie naszych kompozytorów i teoretyków, dokonujące się przez całe ostatnie 5-lecie, nie bez wysiłków i tarć, załamań i błądzeń, walk wewnętrznych i niepowodzeń — tutaj, w Łagowie znalazło swoje oparcie w z r o z u m i e n i u związków przyczynowych, w ujęciu wyraźnym tendencji rozwojowych, które zawsze decydowały o rozwoju muzyki, i dziś także o nim decydują.

To olśnienie, jakie zawsze towarzyszy odkryciu nowych związków między zjawiskami, nowych powiązań, otwarciu nowych horyzontów myślowych — to olśnienie położyło swój odblask na całości dyskusyj łagowskich. Dalecy w większości wypadków od dialektycznego spojrzenia na historię — kompozytorzy zrozumieli, zaczęli z tego rozumienia wysnuwać wnioski. I na tym polega najważniejszy, przełomowy sens dyskusyj łagowskich.

Punktem wyjścia tych dyskusyj stał się problem stosunku kompozytora do własnego dzieła, próba jak najdalej idącego przemyślenia procesu twórczego i współczynników, które — leżąc u jego podstaw — ten proces kształtują (wypowiedzi Mycielskiego, Woytowicza, Ekiera, Palestra). Dalszym ich ogniwem — zrozumienie, że kompleks subiektywnych procesów w twórczości muzycznej jest właśnie wyznaczony procesami obiektywnymi, że autonomia stawania się stylu muzycznego jest ograniczona. Zdobyczą myśli teoretycznej w Łagowie była próba analizy pojęcia formalizmu i jego elementów oraz wydobycie na jaw ich ogólniejszych korzeni historycznych (wypowiedzi muzykologów); zdobyczą polityków (wypowiedź min. Sokorskiego) — próba wykazania politycznych reperkusyj tych zjawisk artystycznych we współczesnej walce imperializmu anglo-saskiego i sił krajów socjalistycznych.

I stąd płynęło drugie osiągnięcie Łagowa: kompozytorzy nasi zrozumieli, że ich dotychczasowa twórczość tak w swych treściach, jak i w środkach wyrazu, wyrastała z określonych warunków życiowych, że te właśnie warunki poprzez długi łańcuch ogniw pośrednich — odbijała, ich potrzebom czyniła zadość, z nich czerpała swe soki żywotne, tj. — treść i formę wyrazu. Zrozumieli, że z nich czerpali oni swój światopogląd filozoficzny, a w konsekwencji i estetyczny. Że z nich wypływały ich własne kryteria wartości w sztuce — a więc i ich własny styl kompozytorski. Że w każdej epoce historycznej i w każdym środowisku kryteria wartości estetycznych są wynikiem aprobaty społecznej pewnych faktów ideologicznych, tj. dzieł sztuki — w naszym wypadku. Zrozumieli, że oni sami nastawieni byli dawniej, a częściowo i dziś jeszcze na aprobatę — nie własnego narodu, ale tych kół z których czerpali przed laty swą wiedzę, i nie całego własnego narodu, ale tylko bardzo ograniczonej grupy w jego ramach.

Zarazem jednak stało się jasne, że te warunki dziś należą do bezpowrotnej przeszłości. Kart historii wstecz odwrócić nie można. W Łagowie został dokonany dalszy krok w dojrzewaniu naszego środowiska kompozytorskiego: stało się jasnym, że człowiek, który zmienił formę społeczną i treść swego życia, musi mieć inną filozofię, inną estetykę i moralność, inną sztukę. Że to wszystko, co nasz świat muzyczny odziedziczył po okresie międzywojennym musi ulec zmianie: założenia światopoglądu i estetyka, kryteria wartości w sztuce i — przede wszystkim — sama twórczość. Konkretnie: styl muzyczny, w jakim dotąd tworzyli.

Te wszystkie rozważania ogólniejsze musiały doprowadzić do koncentracji dyskusji wokół najbardziej dziś tętniącego problematyką pojęcia formalizmu, a raczej pary pojęć sprzęgniętych swym przeciwieństwem: formalizm — realizm w muzyce.

Historyczna analiza formalizmu, jako symptomu kultury formacji kapitalistycznej, formalizmu, jako kompleksu różnorodnych przejawów kryzysu tej kultury, analiza, która starała się w ramach tego kompleksu wydzielić jego współczynniki, i na podstawie ich opisu asymptotycznie zbliżyć się do definicji pojęcia formalizmu, ustalić jego kryteria w muzyce — to też jedna ze zdobyczy rozmów łagowskich.

Trudno tu streszczać wielogodzinne referaty i przemówienia. Będą one in extenso podane w IV-ym numerze „Kwartalnika Muzycznego", oraz w pewnym skrócie w „Ruchu Muzycznym". Ich wynikiem były przez wszystkich akceptowane, p o z y t y w n e postulaty sztuki: h u m a n i s t y c z n e j, przemawiającej od człowieka-twórcy do człowieka-odbiorcy, mówiącej o wspólnych im sprawach i przeżyciach ludzkich; sztuki — wyraźnie n a r o d o w e j, wnikającej — przez oparcie się o folklor — w kategorie myślenia muzycznego najszerszych mas ludu polskiego, i odcinającej się od wyjałowionych komunałów sztuki oderwanej od gleby ojczystej i własnego ludu; sztuki — która by nie wyrzekała się dla snobizmu kosmopolitycznego — typowo słowiańskiej tendencji do śpiewności melodyki; sztuki — która by swą prawdziwość i uczuciowość przejawiała w organicznej jedności formy i treści; sztuki — która by nie była wyrazem samotności twórcy, oderwania się jego od jego rzeczywistości, ale tę rzeczywistość odbijała, w nią wrośnięta, jej doraźnym potrzebom służąca, jej wielkie dążenia w swoich specyficznych granicach odzwierciedlająca. Sztuki, umiejącej wyrazić wielkość i głębię — w środkach prostych i sugestywnych dla wielu odbiorców. Te pozytywne postulaty — jasno sformułowane — to dalsza zdobycz Łagowa.

Inowacją w dyskusjach łagowskich była sama m e t o d a dysput; rozmowy opierały się na konkretnym ,żywym materiale muzycznym. Pięciodniowe dyskusje były przeplatane wykonaniem szeregu dzieł i symfonicznych i kameralnych, stworzonych przez kompozytorów polskich w ostatnich czasach. *) Dzięki tym żywym pokazom, dyskusja nie poszła torami scholastycznego, laboratoryjnego cyzelowania pojęć i definicyj — czego obawiali się organizatorzy i kierownicy zjazdu. Przeciwnie była ona wyrazem tego, że nasza myśl muzykologiczna zbliża się odważnie do najbardziej współczesnych i aktualnych problemów praktyki kompozytorskiej. Że może być — w rozwiązaniu tych problemów kompozytorom pomocna. Że zbliża się do żywej i elastycznej jeszcze treści tego, co stanowi najbardziej współczesne zagadnienia twórczości. Że — nakoniec — dojrzała już sytuacja w naszym świecie muzycznym do tego, by w tej magmie, jaką jest niejednolity i wielostronny, kręty i zagmatwany potok zjawisk stylistycznych w epoce przejściowej, jaką jest nasza doba — nastąpiła już pewna krystalizacja pojęciowa. Krystalizacja w y t y c z n y c h — choć zawsze jeszcze nie zwartego systemu środków technicznych.

To zbliżenie praktyki kompozytorskiej i teorii, muzyki i muzykologii, współpraca myśli analitycznej i wyobraźni twórczej, współpraca — jak udowodnił Łagów — możliwa i cenna, to też zdobycz naoczna zjazdu. Zdobycz, która niewątpliwie będzie impulsem do dalszej twórczej współpracy naszej praktyki i teorii muzycznej. Teoria — oparta na właściwych założeniach myśli i metody marksistowskiej może i powinna również i w zakresie muzyki wspierać praktykę, i twórczo z nią współpracować w naszej przełomowej epoce.

Demokratyzacja dyskusyj łagowskich — to też inowacja nie byle jaka. Prowadzili je nie tylko sami „wielcy wtajemniczeni", ale łącznie i — co najciekawsze — wspólnym językiem, kompozytorzy i teoretycy, wykonawcy-soliści, członkowie orkiestry, dyrygenci — i politycy, utrzymując je na rzadko kiedy osiąganym na tego rodzaju zjazdach poziomie intelektualnym. Zwłaszcza atmosfera jakiejś płomiennej uczciwości, utrzymana prawie że poprzez wszystkie wystąpienia przemawiających — stanowiła specificum Łagowa. Ta właśnie atmosfera — to jeszcze jedna właściwość „zamykania etapu": nie urzędowa i oficjalna, nie deklaratywna i wymowna „pustosłowiem", ale atmosfera uczciwej i — co więcej — żarliwej dyskusji, niejako głośnego myślenia, wspólnego wypracowywania sformułowań, stawiania problemów, które każdego z mówców nurtowały oddawna. Zagadnienia, które naprawdę — i to czuło się w Łagowie od pierwszej chwili — dla każdego z obecnych były najważniejsze. Atmosfera ta zdołała zapalić nie tylko kompozytorów, którzy tu na miejscu, w kraju, dojrzewali do wewnętrznej metamorfozy, ale nawet i przybyłego z Paryża, specjalnie na zjazd Romana Palestra. Właśnie na tym zjeździe Palester dojrzał całą dynamikę naszego życia, dynamikę, która w swój ożywczy nurt porwała i kompozytorów. Zachłysnął się nim, i właśnie w Łagowie zrozumiał, że tu i tylko tu jest i jego miejsce.

W czasie dyskusji padły słowa jednego z mówców (Woytowicz): „moglibyśmy zadowolić się deklaratywnymi frazesami i na tym koniec. Fakt, że tu tyle gadamy, że się spieramy, że nie możemy zakończyć dyskusyj i każdy z nas pragnie podzielić się swoimi myślami z wszystkimi innymi kolegami, dowodzi, że nam idzie teraz o coś stokroć ważniejszego, niż tylko deklaratywne wypowiedzi. Nam idzie naprawdę o zrozumienie sił, które pchają historię naprzód a z nią i rozwój sztuki. Nam idzie o to, jakie wnioski my, dzisiejsi kompozytorzy polscy możemy dla siebie, dla naszej żywej, bieżącej twórczości wyciągnąć z tego zrozumienia. I gdy inny mówca (Rudziński) wyraźnie postawił sprawę „...ja wiem w jakim nurcie chciałbym, ażeby moje nazwisko pozostało" — wiedzieliśmy i czuliśmy, że n i e o n j e d e n t o w i e. Że wiedzą to w tej chwili wszyscy uczestnicy zjazdu.

Zjazd łagowski wyraźnie powiedział „nie" wobec formalizmu, zawsze jeszcze bytującego w naszej twórczości muzycznej jako pozostałość ideologii okresu międzywojennego i kryzysu kulturalnego.

Łagów zamknął pierwszy powojenny etap rozwojowy muzyki polskiej pod jeszcze jednym względem: pojęcie „muzyki

(Dokończenie na str. 7)

*) Dzieła symfoniczne wykonywała Poznańska Orkiestra Filharmonii Robotniczej pod batutą Stanisława Wisłockiego oraz Jana Krenca. Wykonane zostały następujące utwory: Uwertura na małą orkiestrę Kazimierza Sikorskiego, Uwertura Śląska Zygmunta Mycielskiego, Symfonia Olimpijska Zbigniewa Turskiego, Nokturn na orkiestrę symfoniczną Andrzeja Panufnika, Koncert skrzypcowy Piotra Perkowskiego, Koncert fortepianowy Jana Ekiera, Wariacje Symfoniczne Artura Malawskiego, Sinfonietta Tadeusza Bairda.

Przygotowane nadto do wykonania koncerty fortepianowe Grażyny Bacewiczówny i Stanisława Wisłockiego — z powodu wyjazdu wykonawcy Stanisława Szpinalskiego do Moskwy, nie doszły do realizacji. Podobnie Sonata fortepianowa Tadeusza Szeligowskiego.

Z kameralnych utworów na plan pierwszy wysunęły się: Piosenki dla dzieci, oraz Melodie ludowe na fortepian Witolda Lutosławskiego, Piosenki dziecięce Alfreda Gradsztejna oraz kilka jego utworów fortepianowych. Nadto wykonane zostały pieśni masowe Gradsztejna, Jerzego Sokorskiego, Andrzeja Klona, opracowania pieśni ludowych Faustyna Kulczyckiego. Z płyt gramofonowych zaś — fragmenty koncertu skrzypcowego Bacewiczówny.

ADOLF SOWIŃSKI

ZAMEK

Już się nie zdążą wytworzyć legendy,
że stał tu Zamek. Daremnie faszysta
zmiótł go bombami. Korzonki i pędy
muszą zejść niżej, gdzie fala ognista
odbija w Wiśle wschody ponad Pragą,
mosty na lewo i mosty na prawo.

Zamek różowy w śniegu czy w upale
i srebrne świerki jak dawniej przy bramie,
Zamek tak prosty jakby kuty w skale
na pion i poziom, i cień się nie łamie,
choć Canaletto, gdy spojrzysz ze środka,
tłem niespokojnych budowli cię spotka.

Gdzie niebo leży na gruzach, gotowe
podnieść się z miejsca przed cegłą strzelistą,
tam dziś lub jutro wyjdzie na budowę
pośród gołębi robotnik z artystą.
Przyszłość góruje nad przeszłością w cenie,
bo wznieść ma dzieło większe niż zniszczenie

FESTIWAL MŁODOŚCI

(Dokończenie ze str. 1)

„Pan z Niemiec? Wie geht's in Deutschland?" Dwudziestoletni robotnik odpowiada długim wywodem o sprzecznościach pomiędzy strefami. Węgier słabo pojmuje język niemiecki. Pyta: „Gut? Gut?" Robotnik wtedy dopiero spostrzega, że Węgier nic nie zrozumiał. I cudownie upraszcza sens swoich uwag. „In der Ostzone — gut. W strefie wschodniej dobrze. W zachodnich niedobrze. W Zw. Radzieckim dobrze, w Ameryce niedobrze. Sozialismus gut, Kapitalismus nicht gut. O to właśnie mi szło? Zrozumiałeś?"

*

Węgier kiwnął głową na znak, że rozumie. A ci wszyscy, którzy stali tego wieczoru na placu Kossutha, kilkutysięczna gromada ludzi zebrana z obu półkul globu, czy rozumieli? Byli wśród nich amerykańscy studenci medycyny, katolicy z Francji, elektromonterzy z Londynu. Śpiewali.

Oni właśnie w obliczeniach waszyngtońskich właścicieli uranu stanowią kontyngent ludzki, który ma posłużyć jako mięso armatnie, potrzebne nie mniej niż uran. O nich piszą amerykańscy socjolodzy jako o tej zbędnej nadwyżce ludnościowej, która powinna zginąć podczas trzeciej wojny, aby zabezpieczyć kapitalizm przed kryzysem. Ich śpiewu nie chciano słuchać w Waszyngtonie, ale go słyszano. Żaden eksploatator ropy naftowej, żaden producent samolotów, żaden ludożerczy socjolog nie przeżył z tego powodu dreszczu wzruszenia, ale może przeżył dreszcz strachu.

To nie był zjazd intelektualistów we Wrocławiu, ani nawet Kongres Pokoju w Paryżu. To była manifestacja zrewolucjonizowanych żołnierzy z 84 krajów świata. Żołnierze, którzy nie chcą i nie będą się wzajemnie zabijać, przyjechali do Budapesztu śpiewać wspólnie pieśni. Był to gigantyczny wiec młodzieży w obronie pokoju, szczęścia, prawa do muzyki, tańca, sportu, nauki i pracy. Ta demonstracja pokojowa i jej skutki dadzą się niewątpliwie zaliczyć do wydarzeń, które na zachodzie uznawane są za „akty wewnętrznej agresji". Pierwsi agresorzy odlecieli ze stadionu Ujpest w dniu otwarcia Festiwalu. Były to gołębie pocztowe z meldunkami o rozpoczęciu manifestacji. Dziesięć tysięcy agresywnych pocztówek, protestujących przeciwko wyrokowi śmierci na hinduskich patriotów, otrzymał z Budapesztu Pandit Nehru. A w tym samym czasie dochodziły nas wiadomości, że młodzi Włosi wywiesili na gmachu ambasady amerykańskiej w Rzymie sztandar pokoju lub, że w Holandii podczas obrad parlamentu ukazał się na sali transparent z hasłem antywojennym. Nie widziałem nigdy miasta tak głęboko przejętego imprezą, którą u siebie urządza. Budapeszt żył Festiwalem — w tym nie ma przesady. Ćwierć miliona młodzieży węgierskiej wzięło udział w manifestacjach. Neonowe napisy na Oktogon tér opowiadały o tym wieloma językami świata. Wszystkie teatry Budapesztu przepełnione były publicznością i występami zagranicznych zespołów artystycznych. Wszystkie place, ogrody, stadiony, Góra Gellerta, Wyspa Małgorzaty służyły temu samemu celowi.

W tej sytuacji trudno było komukolwiek oprzeć się rytmowi ogólnego entuzjazmu. Nie oparli mu się i ci Anglicy, którzy na zamkniętych konferencjach w węgierskich związkach zawodowych pytali: „Ile u was zarabia robotnik zrzeszony w związku? Tyle co niezrzeszony? Wiec po co robotnicy należą do związku?" Nie oparli mu się i ci, którzy pytali: „Czy są u was specjalne zakłady pracy dla bezpartyjnych?"

A stało się tak chyba dlatego, że nawet ci niezbyt bystrzy sceptycy z zachodu przeszli się ulicami Budapesztu, popatrzyli na salami bez kartek, na tanie buty, na ciastka i wino, poznali zdobycze socjalne węgierskich robotników, obejrzeli świetlice, łaźnie i biblioteki, przekonali się o pewnej prostej prawdzie: „Życie może stawać się lepsze, nie musi stawać się gorsze". Tego życia, które z dnia na dzień staje się lepsze, warto bronić przeciw wojnie i śmierci. Nawet więc flegmatyczni sceptycy z amerykańskich uniwersytetów zrozumieli, dlaczego posiadacze żłobków dziecięcych, którymi zachwyca się francuska komunistka, odbudowanych mostów na Dunaju, które podziwia belgijski tokarz, i pól ryżowych na Puszcie, które interesują Chińczyka, dlaczego ci ludzie wzdrygają się na dźwięk słowa „wojna", a tak drapieżną radością witają słowo „pokój".

*

Tych ludzi jest więcej. Wiemy, że pracują w Łodzi i w Warszawie, są betoniarzami w Holandii, rolnikami we Włoszech, studiują w Paryżu i Moskwie. To przecież oni odbyli zjazd zrewolucjonizowanych żołnierzy w Budapeszcie.

Można będzie spotkać ich albo ich przyjaciół w każdym miejscu ziemi. Byłem przed kilkunastu dniami w Czechosłowackiej fabryce obrabiarek Sezinovo Usti. Chciałbym wszystkim powiedzieć, że pracują tam młodociani przodownicy pracy, wynalazcy i racjonalizatorzy, Jaroslav Svandelik, Blażena Votrubova, Aneżka Krejćova, których portrety namalowane przez studentów praskiej Akademii Sztuk Pięknych wiszą na placu w osiedlu robotniczym. Chciałbym powiedzieć, że Aneżka Krejćova jest małą, wątłą, rumieniącą się, dwudziestoletnią dziewczyną, ale pracuje na dwu warsztatach, przekracza normę o 45% i zaoszczędza pracę jednej dodatkowej robotnicy. Chciałbym powiedzieć, że fabryka ta wysłała na Festiwal do Budapesztu niebieskooką Blankę Pomahaćovą, która na powitanie mówi „cześć pracy" i że sekretarzem miejscowego koła Czechosłowackiego Związku Młodzieży jest Vaclav Tresl, który także był w Budapeszcie. Dowiedziawszy się, że byłem tam wraz z nimi, zaczynają rozmawiać jak z człowiekiem wtajemniczonym w arkana międzynarodowej radości, jak z wesołym spiskowcem lub członkiem jakiegoś bractwa. Vaclav Tresl pokazuje mi komfortowe mieszkania robotnicze, wybudowane częściowo w ramach planu dwuletniego, szkoły, stołówki, sale rekreacyjne, a mówi przez cały czas o Festiwalu. O cóż chodzi? O proste sprawy! Że Węgrzy tak serdecznie przyjęli, że Komsomoł wykazał wspaniałą postawę, że można było widzieć, jaką siłą jesteśmy w walce o pokój i postęp, że bez różnicy narodowości chcemy żyć jak ludzie wolni.

Jacek Bocheński

MIECZYSŁAW JASTRUN

NOWE PRZEKŁADY Z ALEKSANDRA PUSZKINA

SZTYLET

Lemnijski bóg twe ostrze wykuł
Dla mściwych rąk Nemezis wiecznej,
Sztylecie kary, tajny wolności strażniku,
Hańby i krzywdy sędzio ostateczny.

Gdzie spoczął prawa miecz, gdzie milczy grom Zeusowy,
Ty, co nadziei i klątw szale dzierżysz,
Za tron się kryjesz purpurowy
I za świątecznych blask odzieży.

Jak promień piekła, jak bóstw błyskawica
Milczące ostrze świeci zbrodniarzowi w oczy,
I tyran drży, gdy go zaskoczy
Na uczcie przy szklanicach.

Wszędzie go znajdzie cios niespodziewany:
W namiocie i w świątyni, na lądzie, na morzu,
W rodzinnym kole i na łożu,
Rygle nie skryją go ni ściany.

Rubikon szumi Cezarowi wieczną sławą,
Upadł Rzym władczy, zdrzemnęło się prawo,
Lecz Brutus w bój o wolność rusza:
Sztylecie, tyś krew rozlał, — i trup ręką krwawą
Obejmie marmur Pompejusza.

Krzyk gniewny wzniesie pomiot buntowniczej zmowy;
Nikczemny, mroczny, we krwi żywej
Oprawca powstał przeraźliwy, —
Przed nim wolności trup bezgłowy.

Piekłu, już zmęczonemu, apostoł zagłady
Palcem wskazywał swe ofiary
I słał mu wyższych sędziów kary,
Ciebie i Eumenidę bladą.

Męczenniku wolności, namaszczony losem,
O Sand! Zginąłeś na szafocie,
Ale twój proch znajomym głosem
Daje świadectwo świętej cnocie.

Dla twej Germanii był jak cień, o każdej dobie
Klęską zbrodniczej grożąc sile —
I na triumfującym grobie
Jarzy się bez nadpisu sztylet.

NA ALEKSANDRA I

Pod bębnem wyedukowany
Nasz car był lichym kapitanem:
Pod Austerlitz on z pola zwiał,
W dwunastym roku z trwogi drżał.
Za to był musztry profesorem!
Lecz dryl dokuczył mu, i ach!
Dziś jest kolleskim asesorem
W zakresie zagranicznych spraw.

ZIEMIA I MORZE

Kiedy na modrych wód płaszczyźnie
Dmąc na wyniosłych żagli ciszę
Pieściwy Zefir się prześliźnie
I łodzie pośród fal kołysze,
Złożywszy trosk i myśli brzemię,
W rozkosznym próżnowaniu tonę,
O muzach zapomniawszy drzemię,
Z radością słodkie szumy chłonę.
Lecz gdy o brzegi fale morza
Biją, wrą, wyją, pianę miecą,
Gdy się rozlega grom przestworza
I błyskawice w mroku świecą,
Wtenczas z okręgu morskiej burzy
Biegnę w gościnny cień dąbrowy,
Ziemia mi wtedy wierniej służy,
Boli rybaka los surowy.
On w kruchym czółnie się kołysze,
Igraszka ślepych wód głębiny,
A ja w bezpiecznej ciszy słyszę
Szelest strumienia wśród doliny.

* * *

Dla brzegów pod ojczystym niebem
Rzuciłaś obcy kraj nieznany,
Jam długo płacząc żegnał ciebie
W dzień smutny, w dzień niezapomniany.
Długo stygnące moje ręce
Zatrzymać cię przy sobie chciały,
Jęk mój zaklinał, by choć w męce
Rozstania chwile jeszcze trwały.

Lecz od gorzkiego całowania
Gorące usta oderwałaś,
Z kraju ciemności i wygnania
W krainę inną mnie wzywałaś.
Mówiłaś: „Kiedyś w dzień widzenia
Tam pod kopułą lazurową,
W pieszczotach, wśród oliwek cienia
Miłość połączy nas na nowo".

Lecz biada! tam gdzie blask pogody
Wiecznie rozjaśnia nieboskłony,
Gdzie cień oliwek niosą wody,
Zasnęłaś snem nieprzebudzonym.
I twoją piękność, twe cierpienia
Grobowa urna pochowała
Wraz z pocałunkiem w dzień widzenia...
Czekam go: długu nie oddałaś!

PIEŚNIARZ

Czyście słuchali jak w nocnej godzinie
Piewca miłości wśród gajów się żali,
Gdy pola świtem milczały w oddali,
Gdy dźwięk fujarki rzewny, prosty płynie —
Czyście słuchali?

Czyście spotkali w cienistej gęstwinie
Piewcę miłości, co się cicho żali,
I jego uśmiech bolesny poznali,
Gdy wzrok tęsknoty pełen was nie minie,
Czyście spotkali?

Czyście wzdychali słysząc piosnkę w mroku
Piewcy miłości, co się cicho żali,
Kiedyście w lasach młodzieńca spotkali,
Widząc spojrzenie zgasłe jego wzroku,
Czyście wzdychali?

* * *

W komnatę twą przychodzę w gości,
Najczulsza ma! ostatni raz,
Pociechy cichej i miłości
Ostatni z tobą dzielę czas.
W nadziei złudnej, już nie ze mną,
Nie czekaj na mnie nocą ciemną,
Nim promień świtu zdąży wbiec,
Ty nie pal świec.

DO P. A. OSIPOWEJ

Może niedługo już mi dano
W cichym wygnaniu pozostawać
I marzyć dawność ukochaną
I duszą jak spokojne rano
Poezji sielskiej się oddawać.

Lecz nawet w dali, w obcej ziemi
Ja będę myślą wciąż gotową
Brodził łąkami Trigorskiemi,
Wzgórzem, u rzeczki co się mieni,
W sadzie pod strażą lip domową.

Tak kiedy dzień zagaśnie jasny,
Cień, opuszczając głąb mogiły,
Powraca nieraz pod dach własny,
Rzucić w tęsknocie niewygasłej
Spojrzenie tkliwe swoim miłym.

* * *

Czy mi wybaczysz moje zazdrosne rojenia,
Szaleństwo mej miłości, wciąż nieokiełznane?
Tyś mi wierna, więc skądże znowu te zachcenia,
Ażeby wyobraźni mej zadawać ranę?
Dlaczego otoczona tłumem wielbicieli,
Wśród gwaru zabaw chcesz się wszystkim wydać miła
I ze wszystkimi pustą nadzieją się dzieli
Twój wzrok smutny, którego blask czułość zaćmiła?
Zawładnąwszy mą duszą, rozum zamroczywszy,
Pewna stałości moich uczuć nieszczęśliwych,
Nie widzisz nawet, gdy wśród spojrzeń pożądliwych
Obcy gwarowi rozmów i od wszystkich cichszy
Męczę się w trosce mojej; więc dla mnie ni słowa,
Ni jednego spojrzenia... kochanko surowa!
Czy kiedy chcę uciekać, pełne próśb i trwogi
Twoje oczy nie biegną zawrócić mnie z drogi,
Albo gdy jakaś piękna dziewczyna w pobliżu
Dwuznaczną zacznie ze mną prowadzić rozmowę,
Tyś spokojna, a mnie twój żartobliwy wyrzut
Poraża, jak świadectwo niekochania nowe.
Powiedz jeszcze, dlaczego memu rywalowi,
Gdy zastanie nas z sobą i ciebie pozdrowi,
Pozwalasz, by zmrużonym spojrzeniem wyznawał?
Cóż ma do ciebie? Powiedz, jakież jego prawa,
Aby blednąć z zazdrości, kiedy nas zobaczy?
Między zmierzchem a świtem w nieskromnej godzinie,
Bez matki, czyż przystoi samotnej dziewczynie
Półodzianej przyjmować go, i cóż to znaczy?...
Lecz jam kochany przecież... Kiedyśmy we dwoje
Tak czuła jesteś dla mnie! Pocałunki twoje
Tak płomienne! I twojej miłości wyrazy
Tak szczere, pełne serca twojego bez skazy.
Śmieszne dla ciebie muszą być cierpienia moje.
Lecz jam kochany przecież... Ja ciebie rozumiem,
Moja miła, więc nie dręcz mnie, ja cię zaklinam,
Ty nie wiesz, jak ja mocno cię kocham, jedyna,
Ty nie wiesz jak okrutnie cierpieć umiem.

POWIERNIK

Twych westchnień, twoich skarg wymownych
Łapczywie chwytam każdy krzyk,
Uczuć namiętnych i gwałtownych,
Jak mnie upaja mowa ich!
Ale pohamuj twe wyrazy
I zataj, zataj twe marzenia,
Boję się w żarach ich zarazy
Doświadczyć twego doświadczenia.

* * *

Tak, przyjacielu, na próżno przejrzałem
Dary natury dobrotliwej,
Udział beztroskich muz, spoczynek znałem
I wśród rozkoszy sen leniwy.

Poznałem przyjaźń, oddałem jej marom
Płochego życia poryw młody,
Wierzyłem jej za wkrąg idącą czarą
W chwilach radości i swobody.

Poznałem miłość, nie jak mroczne cienie,
Nie jak bez jutra zabłąkanie,
Poznałem miłość, jak piękne marzenie,
Jak zachwyt i oczarowanie.

Błyszczących rozmów gardząc wrzawą młodą
Poznałem pracę i natchnienie
I dla żarliwych myśli mych osłodą
Samotne było mi wzruszenie.

Świat, życie, przyjaźń, miłość niedościgłą
Dzisiaj w nagości jawnej widzę.
Lecz wszystko przeszło, — serce mi ostygło,
Doświadczeń mrocznych nienawidzę.

Charakter mój utracił wyraz zdrowy,
Dusza ma z dnia na dzień niemieje,
Bez uczuć już... Tak lekki liść dąbrowy
W kaukazkich źródłach kamienieje.

* * *

W pustyni ziemskiej smutnej i bezbrzeżnej
Trzy źródła wytrysnęły potajemnie:
Źródło Młodości buntowniczo szemrze,
Kipi i błyszczy z głębiny podziemnej.
Kastalskie źródło falami natchnienia
W pustyni ziemskiej jej wygnańców poi.
Ostatni zdrój, zdrój zimny Zapomnienia
Słodziej od innych żar serca ukoi.

Zły sen

Miałem tej nocy straszny sen. Śniło mi się, że idę ludną ulicą. Był szary mglisty ranek. W ponurym milczeniu mijały mnie tłumy ludzi. Poszedłem za nimi. W głębi ulicy, przed kościołem tłum gęstniał. Drzwi kościoła były zamknięte — stał przed nimi umundurowany kordon. Widziałem ludzi, którzy klękali na jezdni i modlili się wznosząc ręce do góry.

Opodal, pod murem stał w szatach liturgicznych zgrzybiały starzec i ciężkie łzy spływały po jego zoranej zmarszczkami twarzy. Do stóp jego garnęła się, gromadka dzieci. Z płaczem wołały do niego: ojcze, nie opuszczaj nas. Ojcze, wróć do nas.

Zbliżyłem się doń i zapytałem z szacunkiem:

— Cóż tu się dzieje? Odpowiedz mi, czcigodny starcze.

— Czy nie widzisz synu? Wiernym moim wzbraniają modlitwy. Nie pozwalają mi nauczać dzieci. Odpędzono mnie od łoża umierającego, który przez całe życie będąc ateuszem, w ostatniej chwili zapragnął religijnej pociechy...

Stanąłem zdrętwiały. — Gdzie jestem? — zawołałem z oburzeniem. Czy to możliwe, aby znalazł się ktoś, w czyim umyśle powstałyby tak straszne pomysły ograniczenia swobody sumień?

Wtem rozległo się rozgłośne bicie w dzwony kościelne. Ocknąłem się nagle. Dzwon bił w dalszym ciągu. Pod wrażeniem snu przesunąłem ręką po czole, zlanym potem. Wzrok mój natrafił na leżącą obok wezgłowia gazetę, którą czytałem w łóżku, zanim zapadłem w sen. Jeszcze raz rzuciłem okiem na list pasterski Piusa XII do biskupów polskich. Dzwon brzmiał coraz donioślej. Zbliżyłem się do okna. Był jasny niedzielny poranek. Do kościoła po przeciwnej stronie ulicy wchodziły wesołe, świątecznie ubrane gromadki ludzi. Byli pomiędzy nimi dorośli i dzieci, była młodzież szkolna. W tej samej chwili z głośnika radiowego rozległ się głos: halo, halo, tu Warszawa. Prezydent Rzeczypospolitej ofiarował 100 tysięcy złotych na odbudowę kościoła w Sopocie. Z ulgą odrzuciłem gazetę. — Sen mara — wyszeptałem sam do siebie.

Ale któż jest sprawcą tego złego snu? Kto usiłuje takie sny sugerować wszystkim wierzącym na świecie, aby wzbudzić w nich przekonanie, że w Polsce prześladowana jest religia, aby wywołać w nich niechęć do władzy ludowej w Polsce? Przyjaciel hitlerowskich Niemiec na stolcu papieskim, polityczny sprzymierzeniec reakcji angloamerykańskiej — papież Pius XII.

Cel jego orędzia do biskupów polskich jest aż nadto przejrzysty. Chodzi tu o skłócenie społeczeństwa polskiego w chwili nawiązania rozmów pomiędzy rządem naszego kraju a episkopatem, rozmów, które mają na celu uregulowanie sotsunków pomiędzy kościołem a państwem. Ale w tym wypadku papież, zagrawszy w fałszywe karty, stał się mimowolnym pośrednikiem w tych rozmowach. Dla każdego Polaka sens gry Watykanu stał się dostatecznie przejrzysty. Nie ma bodaj ani jednego człowieka w Polsce, który by nie widział oczywistych kłamstw w stwierdzeniach o rzekomym prześladowaniu u nas religii katolickiej. I dlatego orędzie papieża do biskupów mogło jedynie otworzyć oczy tym nielicznym co nie zdawali sobie jeszcze sprawy z istotnej roli politycznej Watykanu: ta ostatnia robota szyta była zbyt już grubymi nićmi.

Orędzie papieża do biskupów polskich stało się za to wodą na młyn dla wszystkich oszczerców demokracyj ludowych po drugiej stronie oceanu. Dla szczekaczek amerykańskich, naśladujących goebelsowskie metody propagandy, dla różnych „Głosów Ameryki" list obrońcy hitlerowców stał się łakomym żerem. Do setek oszczerstw miotanych na Polskę ludową dodać mogli jeszcze jedno oszczerstwo poparte autorytetem Stolicy Apostolskiej.

Robotnicy, ludzie pracy i intelektualiści całego świata wiedzą dobrze co się kryje pod tego rodzaju oświadczeniami papieża i jego kapitalistycznych mocodawców, wiedzą, że ostrze tych oświadczeń skierowane jest przeciw Związkowi Radzieckiemu i demokracjom ludowym, że papież stał się narzędziem kapitalistów amerykańskich dla prowokowania coraz to nowych zatargów, dla wzbudzania rozterek i niepokoju. Robotnicy, ludzie pracy i intelektualiści całego świata nie dadzą się sprowokować. W obronie pokoju, w obronie kultury jednoczą się dziś setki milionów ludzi. Setki milionów ludzi wiedzą po czyjej stronie jest słuszność, znają prawdę i potrafią ją obronić.

Kłamstwo ma zawsze krótki żywot. Niewiele minęło dni od listu papieża do biskupów polskich, a ze wszystkich stron kraju odzywają się głosy uczciwych księży-patriotów i uczciwych katolików potępiających oszczercę na stolcu Watykańskim. Reakcyjna część kleru i ci spośród intelektualistów katolickich, którzy milczą do tej pory i dalej zachowają milczenie, wyizolują się sami ze społeczeństwa, zadeklarują jasno swoją przynależność do obozu kapitalistycznych mącicieli pokoju i wrogów kultury.

Lud ma dobrą pamięć. I poplecznikom tego, który błogosławił Hitlera, może kiedyś odpowiedzieć słowami świętego Piotra: non possumus, albowiem o żadnych z was nie moglibyśmy powiedzieć pertransiit benefaciendo.

Kandyd

PRZYPADKI
ROBINSONA KRUSOE
PRZEZ
DANIELA DEFOE.

OZDOBIONE 206 DRZEWORYTAMI
PRZEZ
J. J. GRANDVILLE.

NOWY PRZEKŁAD POLSKI.

TOM I.

Lipsk,
NAKŁADEM J. BAUMGAERTNERA
1844.

Karta tytułowa polskiego przekładu Robinsona Kruzoe, wydanego w Lipsku w r. 1844 z ilustracjami G. J. Grandville'a.

„Złoto jest skarbem, kto je posiada, zaspokoi wszystkie potrzeby na tym świecie, może również uwolnić dusze z czyśćca i dać im radości niebieskie".

Krzysztof Kolumb

PIĘKNA jest scena posiłków Robinsona na bezludnej wyspie. „Najpoważniejszy mędrzec musiałby się uśmiechnąć widząc jak obiaduję z moją małą rodziną. Naprzód uwielbiałby moją majestatyczność monarszą, jako króla tej wyspy, pana wszechwładnego wszystkich stworzeń, które były jej mieszkańcami, bo mogłem je według mego upodobania karać śmiercią, wtrącać do więzienia, udarować wolnością; a w całym moim poddaństwie nie liczyłem ani jednego buntownika. Trzeba było widzieć, z jaką to godnością panującego jadłem sam jeden obiad mój, a moi słudzy dookoła mnie stali. Papuga miała wyłączny przywilej rozmawiania ze mną, jako pierwsza faworytka monarchy. Mój pies miał dla siebie przeznaczone miejsce po prawej ręce, a dwa koty po drugiej stronie stołu czekały, abym im rzucił parę kawałków na znak szczególnej łaski...". Ten wspaniały i raz na zawsze ustalony rytuał posiłków na pewno niewiele się zmienił, kiedy na wyspę przybył Piętaszek. Tyle tylko, że kiedy dobry sługa przyniósł już upieczonego żółwia lub kawał koziego mięsa, zajmował przy stole miejsce papugi lub psa, po prawej ręce swojego pana.

„Najpoważniejszy mędrzec nie mógłby nie uśmiechnąć się..."

Można sobie jednak doskonale wyobrazić, że to Piętaszek ocalił życie Robinsonowi, kazał mu złożyć przysięgę wierności, nauczył obywać się bez odzieży i modlić do dobrego Boga Benamuki. Tak jednak być nie mogło. Byłoby to rozwiązanie oburzające, złamałoby wszelkie konwencje: społeczne, literackie i obyczajowe. Piętaszek bowiem, zanim go Karaibowie przywieźli na bezludną wyspę, żeby go tam usmażyć na ognisku i spokojnie spożyć, miał już za sobą długą i wspaniałą karierę polityczną i literacką. Na bezludną wyspę Robinsona przybył nie Piętaszek, ale d o b r y d z i k u s. Była to wśród wszystkich przygód dobrego dzikusa jedna z najciekawszych, zakończyła się bowiem jego oswojeniem.

Przez cały XVII wiek dobry dzikus potykał się zwycięsko z porządkiem feudalnym w Europie. Misjonarze jezuiccy, którzy pamiętali jeszcze lekcje retoryki z kolegium de la Flèche, widzieli w szczęśliwych ludach żyjących na Antylach w stanie naturalnej prostoty, obraz złotego wieku ludzkości. Nieliczni humaniści zabłąkani wśród eksploratorów, jak choćby ów Marek Lescarbot, adwokat Parlamentu, który w 1609 r. ogłosił „Historię Nowej Francji", podziwiali spartańskie cnoty głodujących Indian w północnej Ameryce i porównywali ich obyczaje a nawet tańce do uroczystych zgromadzeń Lacedemończyków, opisanych przez Plutarcha. Ojciec Lejeune w swoich listach z Kanady, z roku 1634, znajduje na ramionach Huronów „wielkie i potężne głowy Juliusza Cezara, Pompejusza, Augusta i Ottona", a Grotius, w swojej rozprawie „De Origine Gentium Americanorum" (1643), widzi w Indianach potomków bitnych Germanów, powołuje się na Tacyta i odnajduje nawet prawie absolutną identyczność języka niemieckiego z dialektem północnych Indian.

Poczciwi Franciszkanie podziwiają Sjuksów i Komanczów za praktykowanie ewangelicznych cnót: posłuszeństwa, cierpliwości i ubóstwa, a cnotliwych Kapucynów nie gorszy nawet, że dzicy chodzą nago. „Ponieważ Topinambukowie nie poznali nigdy prawa boskiego — opisuje swój pobyt na Antylach (1614) ojciec Claude d'Abbevelle — nie mogą mieć świadomości grzechu i skażenia ludzkiej natury i nie czują żadnego zawstydzenia i sromu, że chodzą nago". Po czym dobry braciszek dodaje: „Znacznie mniejszą oskomę budzi oglądanie nagich Indianek, niż podziwianie lubieżnych wdzięków modnych białogłów we Francji, ponieważ Indianki są skromne i powściągliwe w swojej nagości".

„Zbliżał się powoli klękając co dziesięć kroków..."

Dobrzy dzikusi, którzy nie znają własności, nie płacą podatków i nie odrabiają pańszczyzny, budzą równy podziw misjonarzy i podróżników. Nawet czcigodny biskup Palafox, który przybył do Kanady z Hiszpanii, stwierdza z całym przekonaniem, że „Indianie są bardzo dobrze wychowani i uwielbiają walki byków" („Vertus des Indiens", tłum. franc. z 1663). Ale ci sami pisarze, którzy nie mają dość słów zachwytu dla szlachetności, dobroci i gościnności Indian, Karaibów i mieszkańców najróżniejszych wysp Polinezji, piszą jednocześnie o Murzynach ze wstrętem i pogardą i widzą w nich bydlęta, które tylko kijem można zmusić do pracy.

Zacny Dominikanin, ojciec du Tertre, który zostawił nam jedną z najczulszych charakterystyk dobrego dzikusa (1667), przytacza w swoim barwnym opisie życia kolonistów i korsarzy na Antylach, gdzie „zbrodnią jest przybyć z bogatym ładunkiem", następujące wyspiarskie przysłowie: „Spojrzeć ostro na dzikusa — to go uderzyć; bić dzikusa — to go zabić; bić Negra — to go karmić". A ojciec Labat, misjonarz i plantator, pisze w pięćdziesiąt lat później w „Nowej podróży do wysp amerykańskich" (1722) o Murzynach na Martynice: „za cały strój mają tylko nędzne majtki z płótna, wielu z nich nosi na plecach ślady uderzeń bata, budzi to współczucie tych, którzy nie przywykli do tego widoku, ale się wkrótce przyzwyczajają". Ojciec Labat bardzo się szybko przyzwyczaił, bo opisuje nam potem z całym spokojem okrutne kary, jakie wymierzał krnąbrnym Negrom. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie wzruszający portret „dobrego Karaiba", jaki zostawił nam ojciec Labat w tej samej książce.

Od Brazylijczyków, w słynnym rozdziale Montaigne'a „O Kanibalach", aż do wolterowskiego „Prostaczka" nigdy żaden Murzyn nie wystąpił w szlachetnej roli dobrego dzikusa. Dobrzy dzikusi mieli skórę różnych kolorów, w powieściach fantastycznych mieli nawet czasami oczy osadzone po obu stronach głowy, ale nie byli nigdy czarni. Nie ma w tym nic zagadkowego. Murzyni do ról bohaterskich zupełnie się nie nadawali, pracowali ciężko na plantacjach trzciny cukrowej i sprzedawani byli jako bydło robocze do wszystkich kolonii.

JAN KOTT

Narodziny powieści

III. Robinson

Jakżeż można było ich wysłać do Paryża, Londynu i Hagi, aby w towarzystwie filozofów drwili z feudalnych porządków i bronili naturalnego prawa, naturalnej religii i naturalnej moralności. Byli zbyt rzeczywistym obrazem społeczeństwa burżuazyjnego, aby mogli stać się jego obrazem idealnym. Natomiast Indianie, Karaibowie i wszystkie ludy wyspiarskie na Antylach i Polinezji, nie nadawali się zupełnie do ciężkiej pracy fizycznej i kiedy próbowano ich zamienić w niewolników, wymierali szybko i gwałtownie. I dlatego w roli dobrych dzikusów zrobili wielką, polityczną karierę obrońców wolności i tolerancji.

We Francji w XVIII wieku dobry dzikus stawał się coraz zuchwalszy, szydził otwarcie z wszelkiego autorytetu, z objawionej religii i przywilejów. W mieszczańskiej Anglii rola dobrego dzikusa była już ograniczona. Rewolucyjny purytanin, zanim zdążył stać się wolnomyślicielem, już był filistrem. Radykalna krytyka społecznej niesprawiedliwości, wywodząca się z wielkich tradycji humanizmu, była już dla społeczeństwa burżuazyjnego niebezpieczna. Trzeba było dobrego dzikusa oswoić. Zadania tego podjął się Robinson na bezludnej wyspie. Bardzo była zabawna ta bezludna wyspa: kupiec zamienił się na niej w naturalnego człowieka, naturalny człowiek stawał się służącym cywilizowanych kupców.

Robinson wychowuje Piętaszka równie metodycznie jak wszystko, co robi. Rozpoczyna edukację od nauczenia go słowa: p a n, potem ubiera go w stare spodnie po kanonierze okrętowym i szyje mu kaftan z zajęczych skórek. Nagość o wiele bardziej oburzała surowych purytanów niż katolickich misjonarzy. Następnie daje Robinson Piętaszkowi kawał koziego mięsa i tłumaczy, że jest o wiele lepsze od ludzkiego. Pokazuje mu wreszcie straszne skutki broni palnej, nie zdradzając przezornie jej tajemnicy, wyznacza legowisko i każe pracować w polu.

Dopiero potem rozpoczyna moralną edukację Piętaszka. Trzeba z dobrego dzikusa zrobić dobrego protestanta. Robinson ma z Piętaszkiem lekcje religii. Piętaszek jest uczniem bardzo pojętnym:

„Jeżeli twój Bóg — mówi dobry dzikus — mieszka wyżej słońca i stamtąd może nas słyszeć, musi być potężniejszy od Benamuki, bożka mego narodu, co nie jest tak daleko od nas a może wysłuchać naszych próśb tylko na wysokich górach, gdzie przebywa".

— Mówiłeś ty z nim na tych górach? — pyta Robinson.

— Nie — odpowiada Piętaszek. — Młodzi tam nie chodzą, tylko starcy, których nazywamy Uwokaki.

Defoe jest jednak nie na darmo nonkonformistą i żyje w wieku Oświecenia. W Robinsonie, w czasie lekcji religii, budzi się nagle racjonalistyczny filozof. „Domyśliłem się, że tymi starcami są ich kapłani, którzy wychodzą na poświęcone miejsca dla powiedzenia: O! (w języku Piętaszka oznaczało to modlitwę) i potem wracają ogłaszając ludowi, co im Benamuki powiedział. To przekonało mnie, że nawet

między najgłupszymi bałwochwalcami oszustwo praktykowane jest przez kapłanów i że umiejętność okrycia religii tajemnicą, aby zapewnić duchowieństwu poszanowanie ludu, stosowana jest nie tylko w Rzymie, ale przez wszystkie religie świata".

Lekcja religii trwa jednak dalej. Piętaszek bardzo łatwo uwierzył w potężnego Boga, który stworzył świat i mieszka wyżej słońca, ale znacznie trudniej przyszło mu pogodzić się z istnieniem diabła, który kusi człowieka i przyprawia go w piekle o wieczne męki. Rację miał ojciec Lejeune z Towarzystwa Jezusowego, który we wspomnianych już listach z Kanady skarżył się, że obrazki mąk piekielnych, jakie mu posłano z Francji, nie są dość malownicze i wyraźne dla dzikusów: „diabli są tak zmieszani z ludźmi, że trzeba się długo wpatrywać, aby móc cokolwiek poznać. Kto odmaluje — pisze dalej ów dobry braciszek — czterech lub pięciu demonów zadających duszy najróżniejsze katusze, jednego, który ją smaży na ogniu, drugiego, który przynosi węże, aby ją kąsały, trzeciego, który ją wbija na widły, czwartego, który ją zakuwa w łańcuchy; skutek byłby arcypożyteczny, zwłaszcza gdyby wszystko było namalowane bardzo wyraźnie, a smutek i ból odbijałby się na twarzy tej potępionej duszy. Strach jest posłańcem wiary w umysłach barbarzyńskich".

Niestety, Robinson na bezludnej wyspie nie miał tych świętych obrazków i wiele sobie musiał zadać trudu, aby przekonać Piętaszka o potędze złego ducha. Ale w prawdziwym kłopocie znalazł się poczciwy Robinson, kiedy mu dobry dzikus, pełen jak zwykle zdrowego rozsądku, takie oto zadał pytanie z teologii: „Jeżeli Bóg być (Piętaszek nie umiał jeszcze dobrze po angielsku) daleko mocniejszy i potężniejszy od diabła, dlaczego Bóg nie zabić diabła, aby więcej nie czynił złego?"

Ta lekcja religii mogłaby figurować z powodzeniem w „Dykcjonarzu Filozoficz-

STANISŁAW WYGODZKI

CZY NAPISZĘ POWIEŚĆ?

III.

PISAŁEM już kiedyś o tym, co się działo w moim mieście rodzinnym po wkroczeniu Niemców, pominę więc obecnie te sprawy milczeniem. Nadeszła teraz pora rozejrzenia się za pracą. Byłem bez środków do życia, zbliżała się zima, był to ten okres okupacji, gdy wolno było jeszcze przewidywać i zapobiegać o węgiel, o jakieś kartofle. Pomyślałem o fabryce: czy Szuster wrócił? A potem: co z Wawrzyńcem? Jeszcze później: czy pozwolą pracować?

Na fabryce pozornie niewiele się zmieniło. Jeszcze była nieczynna, ale koledzy w biurze mówili, że dyrekcja zamierza uruchomić ją niezwłocznie, jak Warszawa padnie. Już byli Niemcy, ci z dyrekcji w O., niemal pierwszego dnia po wkroczeniu Niemców, jednocześnie ze zwiadem, który wyprzedzał kolumnę czołgów. Stwierdzili z zadowoleniem, że nie było żadnych szkód, a robotnikom, których zastali z kijami przy pełnieniu straży, między innymi również Wawrzyńcowi, kazali zgłosić się za kilka dni, przyrzekając, że będą pamiętali „wierną służbę". Widzieli w nich stróżów swojego majątku — nie wiedzieli, że strzegą przyszłej własności państwa ludowego i klasy robotniczej.

Dyrektorzy pytali o Szustra: czy już wrócił z wojska? O wojsku mówili z przekąsem, nie ukrywając jawnego, lekceważącego zdania: das war ein Herr... Pytali również o inżyniera F. Jest im pilnie potrzebny, muszą go mieć, bo to przecież on projektował piec, on budował, on zna produkcję. Co z tego, że mają plany, tu praktyk potrzebny, praktyk! Gdy im oświadczono, że również inżynier zgłosił się do wojska, miny im zrzedły, poszeptali między sobą zaniepokojeni. „Trzeba go odnaleźć, może żyje". Wyjechali, zapowiadając szybki przyjazd nowego dyrektora, który poprowadzi fabrykę.

Szuster już był. Widział Wawrzyńca, porozmawiał ze mną, protekcjonalnie przyrzekł pracę, bo to ludzi brak. Wspomniał mimochodem o SS i gestapo, dając do zrozumienia, że nie zapomniał naszej przeszłości. Występował w roli tymczasowego pełnomocnika dyrekcji.

W kilka dni później zjawił się nowy dyrektor, opasły, typowy Niemiec. Kazał zwołać robotników — Warszawa padła, zapowiedział więc rozpoczęcie produkcji. Mówił o posłannictwie swego narodu, o dziele führera, o nowym porządku, który Niemcy zaprowadzą w tej części Europy, zacofanej, brudnej, zażydzonej. U boku miał Szustra, którego przedstawił jako volksgenosse i parteigenosse, jako tego, który będzie go zastępował w sprawach kierownictwa, ponieważ on sam osobiście ma ważne zadania partyjne i jako Kreisleiter musi przebywać w Bytomiu. Gdy zapowiadał, że robotnicy muszą zachować dyscyplinę i we wszystkim słuchać szwagra — Szuster występujący w roli tłumacza wskazał ręką na siebie i uścisnął rękę Niemca.

Wszystko było dla nas jasne, ale wówczas tym mocniej wzrosły nasze obawy, Wawrzyńca i moje. Ten prowokator miał nas w garści. Wiedział o nas wszystko i mógł nami igrać dowoli. Mógł nas w każdej chwili wydać gestapo, które zainstalowało się w naszym mieście. Mógł nas w każdej chwili zastrzelić i kto by mu za to coś zrobił?

— Wsiąkliśmy, Wawrzek.

Stracił zwykły swój spokój i gryzł końce pieczołowicie muskanego wąsa, ale milczał uporczywie. Czyżby żałował mojego powrotu, bo po cóż los jeszcze jednego człowieka ma zależeć od tego szubrawca? A może żałował tej służby pełnionej przez kilka dni i nocy na terenie opustoszałej fabryki? Czy nie byłoby lepiej, gdyby rzezimieszki podmiejskie były się dostały przez mur na teren fabryki i skradły motory, pasy transmisyjne, przewody, żarówki? Jak długo można było liczyć na „łaskawość" nowego naszego chlebodawcy?

Szuster kazał mi objąć nadzór nad piecem, sam zaś urzędował w gabinecie dyrekcji. Któregoś dnia zawezwał do siebie Wawrzyńca. Relacja z tej rozmowy wyglądała mniej więcej tak: Szuster, jako Niemiec i członek narodowo-socjalistycznej, już niepolskiej, tylko niemieckiej partii, nie chce mieć żadnej styczności z Żydami. Aluzja była wyraźna — byłem jedynym Żydem w fabryce — wobec czego Wawrzyniec będzie pośredniczył w rozmowach między dyrekcją a mną. Zapytał go, czy rozumie dobrze, co do niego mówi. Wawrzyniec potwierdził. Posunięcie było perfidne: toczyła się wojna, znał nas jako komunistów, zaś prawo wojenne sankcjonujące wszelkie bezprawie stawiało nas w sytuacji skazańców oczekujących wykonania wyroku. Powodem do rozstrzelania mógł być zarówno większy odsetek kadmu w tlenku cynku, jak pasemko niebieskiego papieru, którym wykładano drewniane beczki, by zmniejszał hygroskopię. Równie dostatecznym powodem mógł być krzywo wymalowany numer na dnie beczki. Perfidię powiększał fakt, że jednemu z dwóch towarzyszy i przyjaciół kazał występować w charakterze ujeżdżającego, drugiemu zaś w roli konia pociągowego.

Do czego zmierzał? Do poróżnienia nas? Bo przecież wydźwignięcie jednego z nas oznaczało poniżenie drugiego. Byłem o Wawrzyńca spokojny. Wiedziałem, że władza, jaką Szuster go obdarzył nieoczekiwanie po to, by ją dać odczuć mnie, nie będzie groźna, ale czy mogłem przewidywać granice tej „władzy", której Wawrzyniec faktycznie nie posiadał? Przecież w najmniejszym nawet stopniu nie odpowiadał za posunięcia Szustra, które przecież musiał wykonać, używając mnie jako narzędzie. A Wawrzyniec? Czy wiedział, że polecenia, jakie będzie musiał mi komunikować, zostaną przeze mnie należycie pojęte — „należycie", to znaczy tak, aby wykonanie poleceń nie narażało jednocześnie tego, który mi je powierzał, a więc jego? Przecież zostały nam narzucone przez człowieka, który chciał nas zniweczyć.

Wawrzyniec i ja! Przecież przy tym wszystkim nie wolno nam było zapominać, że staliśmy się pionkami, że właściwym panem naszego losu jest ktoś stojący na uboczu i obserwujący, czy zaaranżowana gra da spodziewane wyniki. Musiałem pamiętać, aby nie zwalić Wawrzyńcowi jakiegoś kłopotu, ale co gorsza, musiałem pamiętać o Szustrze, i przyznacie, że niełatwo zachowywać w pamięci człowieka, którego gra stała się przejrzysta. I to jaka gra!

*

Inżyniera F. wzięto do niewoli 2 września w czasie, gdy niedobitki jego jednostki wlokły się od granicy ku Czeladzi. Niemcy trzymali ich kilka dni pod gołym niebem, w polu naprędce obstawionym kozłami, które połączono kolczastym drutem. Pole było dobrze wybrane. Ludzie rzucili się odrazu na brukiew, mieli przynajmniej co jeść, nocą zaś marzli, pozostawiono ich bowiem w bieliźnie, by w razie ucieczki uchodzący został szybko rozpoznany. Pod koniec września nastąpiła pierwsza selekcja: oddzielono Żydów i wraz z nimi inżynier F. powędrował pod eskortą, pieszo, do pobliskich Mysłowic. W jakiejś opustoszałej garbarni gromadzono byłych żołnierzy, polskich Żydów, których Niemcy wyławiali z obozów jenieckich, mieszczących się na ziemiach polskich, włączanych obecnie pośpiesznie do Reichu. W październiku załadowali do wagonów bydlęcych kilka tysięcy ludzi. Niemcy twierdzili, że odwożą ludzi do domów: pociąg będzie przystawał na każdym dworcu i każdego Żyda pochodzącego z danej miejscowości, gdzie się pociąg zatrzyma — zwolnią. Zgłosiło się odrazu kilkudziesięciu ludzi z Zagłębia, którzy twierdzili, że wobec tego, iż pochodzą z pobliskich miast oddalonych zaledwie o kilka kilometrów od Mysłowic, pragną wrócić pieszo do domów.

— To nie szkodzi, odstawimy was pociągiem, będzie wygodniej, po co macie chodzić? A może się rozbiegniecie? Jeżeli to blisko, to pociągiem będzie prędzej.

Serca im zamarły. Wówczas to inżynier F. wziął na odwagę i zgłosiwszy się do komendanta, niemłodego już oficera, opowiedział, że pochodzi z pobliża, z B., gdzie od kilku lat pracował w fabryce, której akcje należą do Niemców. Podał nazwiska, adresy, nawet opis osób. Komendant przyrzekł, że sprawdzi, czy dane te odpowiadają prawdzie.

— Jeżeli nie — wskazał mu pobliski rów — znajdziesz się tam.

— Mówię prawdę, jestem w fabryce potrzebny, wystarczy zadzwonić. Podał numer telefonu fabryki...

*

W tym okresie Szuster zarządził, abym stale pełnił nocną służbę, nie ukrywając bynajmniej, o co mu chodziło. Spadała na mnie odpowiedzialność nie tylko za produkcję, lecz również za stan zaciemnienia na fabryce. Jeżeli byliście kiedykolwiek w zakładzie przemysłowym, gdzie płonie piec hutniczy, to wiecie, z jakimi trudnościami związane jest zaciemnienie rozległej, oszklonej hali. Jeden wylot rotacyjnego pieca przylegał wprawdzie do pieca koksowego, ale przeciwległy wylot był stale otwarty, obserwowano przezeń przetaczającą się płynną lawę roztopionego cynku, do której co 2 — 3 minuty dokładano kilka nowych płyt. Otworu tego nie można było zamykać ani na sekundę — utlenianie następowało na skutek zetknięcia płynnej masy z dopływającym powietrzem.

Drugi motyw tego zarządzenia był nie mniej przejrzysty: w nocy nikt nie mógł wejść na fabrykę, za dnia zaś mógł nieoczekiwanie wpaść ktoś z DAF-u lub z partii i wtedy Szuster musiałby się tłumaczyć i wyjaśniać, dlaczego zatrudnia Żyda. W nocy unikał tego. Posługując się Wawrzyńcem, polecił mi powiedzieć, że chodzi mu o moje dobro. — „Nikt nie będzie go się czepiał. Nawet mój szwagier nie zauważy go i dobrze się stało, że go dziś nie spotkał w czasie roboty, gdy odwiedzał fabrykę".

Którejś nocy, już było późno, zadzwonił telefon. Dyżurny urzędujący w biurze przybiegł na halę zasapany, stałem wtedy przy piecu, i już zdala wołał:

— Telefon, telefon, mówią po niemiecku, nic nie rozumiem, chodź pan prędko. Odstawiłem szybko probówki, zdusiłem palnik i minąwszy szybko plac tonący w ciemnościach wpadłem do biura. Mówił jakiś leutnant, zrozumiałem, że jest komendantem przejściowego jenieckiego obozu, i pytał, czy w naszej fabryce pracował niejaki F., rzekomo inżynier, ein Jude.

— Tak, pracował.

— Czy jest wam potrzebny?

— Tak, pilnie potrzebny, jest polecenie dyrektora Strenciocha, żeby go poszukiwano.

— „Strencioch"? Wie? Wie? Strencioch? Das ist doch kein deutscher Name!

— Doch, doch, mieszka w Bytomiu, właściciel składu aptecznego.

— Parteigenosse?

— Jawohl, Kreisleiter.

— Werde nachprüfen.

Rozdygotany opadłem na krzesło. Siedziałem bezmyślnie wpatrzony w leżące przede mną na biurku przedmioty, po czym sięgnąłem machinalnie po ułożone równo papiery. Przesuwałem je i znów układałem. Miałem w ręce sztywną, grubą kopertę z tłustym nadrukiem: Kanzlei des Führers.

Byłem zapewne wówczas w kraju jedynym nie-Niemcem, który miał w ręce pismo z podpisem führera. Arkusz wydobyty

albo o Danielu Defoe

i Piętaszek

nym" Woltera. Ale Defoe pisał z całkowitą dobrą wiarą. Zresztą prawdopodobnie sam jej nie wymyślił. Nawracanie dobrego dzikusa i rozmowy z nim o religii objawionej były obowiązkowym tematem nie tylko „Listów Budujących", których Defoe mógł nie czytać, ale wszystkich relacji podróżników, które znał znakomicie. U tego samego ojca Lejeune znajdziemy zupełnie podobną lekcję religii u Huronów:

„Przypominam sobie — czytamy w „Relation de 1637" — że kiedy im długo i szeroko mówiłem o piekle i niebie, karze i nagrodzie, jeden z Huronów powiedział mi: połowa twojej mowy jest dobra, druga nic nie jest warta, nie mów nam o tym ogniu, to budzi w nas wstręt, mów nam o dobrodziejstwach nieba, o długim, pełnym dostatków i wygód życiu na ziemi, o rozkoszach, jakich zaznamy po śmierci. W ten sposób nas pozyskasz". Dobrzy dzikusi, jak widzimy, zadawali nieraz pytania bardzo drażliwe. Poczciwi ojcowie z zakonu Jezuitów i Franciszka nie zdawali sobie zupełnie sprawy, jak wspaniałe gromadzą anegdoty dla niedobrych filozofów francuskich.

Kiedy moralna edukacja Piętaszka była skończona, Robinson nauczył go strzelać i ofiarował mu nóż i siekierkę. Miał z nim tylko jeden kłopot: Piętaszek chciał koniecznie pojechać do swoich rodaków i nawrócić ich na chrześcijaństwo, oduczyć od jedzenia ludzi. Robinson był zbyt rozsądnym protestantem, aby takie plany pochwalać. Kazał Piętaszkowi zabrać się do roboty i uczyć po kolei wszystkich rzemiosł.

Oswajanie Piętaszka przez Robinsona należy do najwspanialszych kart książki. Dobry dzikus był dotąd postacią abstrakcyjną. Defoe, pierwszy w literaturze, dał mu nie tylko imię, ale i proste ludzkie uczucia. Piętaszek jest pierwszym dobrym dzikusem, który nie tylko mówi, ale i żyje. Dojrzałość artystyczna wyrosła z bogactwa treści społecznych, jakie zawierał pobyt Piętaszka na bezludnej wyspie. Było to nowe, wielkie zwycięstwo realizmu.

Wyspa zresztą przestała być bezludna, skoro tylko Piętaszek został ucywilizowany. Jeszcze parę rozdziałów, a zamieni się w typową angielską kolonię. Filozofowie i libertyni wysyłali swojego dobrego dzikusa do Europy, aby dziwował się feudalnym porządkom. Piętaszek będzie mógł jeszcze na swojej wyspie przypatrzeć się zwyczajom białych ludzi. Zbuntowana załoga wysadza na niej kapitana okrętu z dwoma towarzyszami. Robinson i Piętaszek widzą z przerażeniem, jak majtkowie lżą i grożą śmiercią swoim jeńcom. I teraz następuje scena tak wspaniała, że nie mogę sobie odmówić przyjemności jej przepisania.

„Och, panie! — wołał Piętaszek swoją złą angielszczyzną — ty widzieć jak Anglicy jeść jeńcy, tak jak my, dzicy.

— Co ci się marzy, Piętaszku — rzekłem — czyż myślisz, że zabierają się do pożarcia swych jeńców?

— Tak, tak — odrzekł — oni ich zjeść.

— Nie, nie, Piętaszku — odparłem — ja się tylko obawiam, żeby ich nie chcieli pozabijać, ale możesz być pewny, że ich jeść nie będą".

„Czyż myślisz, że zabierają się do pożarcia swych jeńców?..."

Scena jest rzeczywiście wielkiej piękności, ale i ona należy do klasycznego repertuaru dobrego dzikusa. Odnajdziemy ją znowu w niezrównanej relacji ojca Lejeune'a. Oto jezuita Lemercier, którego zmuszono, aby przypatrywał się, jak dwóch jeńców pieką żywcem na ognisku, zwraca się z wyrzutem do starego Indianina. I taki oto wywiązuje się między nimi dialog:

„Dlaczego tak się gniewasz, że ich męczymy — zapytał stary dzikus.

— Nie widzę w tym nic złego, że ich zabijacie — odparł jezuita — ale oburza mnie, że czynicie to w taki sposób.

— A jak robicie wy, Francuzi? Czyż nie karzecie śmiercią?

— O, tak, karzemy śmiercią, ale nie z takim okrucieństwem.

— Jakto, czyż nigdy nie palicie ludzi?

— Dość rzadko — odpowiedział ojciec — a i to ogień jest tylko za ogromne zbrodnie, przy tym nie męczymy ich tak długo, często przedtem łamie im się kości, a na ogół rzuca od razu w ogień, gdzie duszą się i palą natychmiast".

Ojciec Lejeune, który pisał te „budujące" listy, był bardzo naiwny. Musiał chyba nigdy nie czytać wydanych pół wieku wcześniej „Prób" Montaigne'a, których rozdział „O Kanibalach" zawierał już filozoficzne porównanie ludożerców i oprawców europejskich. „Mniemam, iż większym barbarzyństwem — pisze ów wielki klasyk humanizmu — jest zjadać człowieka żywego niż umarłego; rozdzierać w mękach i katuszy jego ciało jeszcze pełne czucia, piec na wolnym ogniu, dawać je kąsać i szarpać psom i świniom (jakeśmy to nie tylko czytali, ale widzieli za świeżej pamięci, nie między odwiecznymi nieprzyjaciółmi, ale między sąsiadami i współobywatelami i co gorsza pod sztandarem pobożności i religii), niż piec je i zjadać wówczas, gdy jest nieżywe..." Myślę, że Daniel Defoe znał Montaigne'a — angielski przekład „Prób" wyszedł prawie natychmiast po ich ogłoszeniu we Francji i był w Anglii bardzo czytany. Naiwny okrzyk Piętaszka, że „Anglicy także jeść ludzi", był chyba zupełnie świadomą ironią.

Burżuazja w okresie swojej młodości nie lękała się krytyki. W „Robinsonie" i w innych powieściach Daniela Defoe znajdziemy obraz niejednego z okrucieństw rodzącego się nowego ustroju. Robinson, podobnie jak Defoe, nienawidzi wojen, które niszczą handel i unika każdego zbytecznego rozlewu krwi. Zastanawia się długo, czy ma prawo karać śmiercią Indian za ich kanibalizm, który nie jest przecież ich winą, i uderza na nich dopiero wtedy, kiedy wtargnęli w jego posiadłości. Potępia Hiszpanów za wymordowanie całych ludów w Ameryce i angielskich marynarzy za ich okrutne gwałty. Na swojej wyspie zaprowadza tolerancję religijną i zapisuje z satysfakcją, że każdy z jego pierwszych poddanych był odmiennej religii. „Służący Piętaszek protestantem, jego ojciec bałwochwalcą i ludożercą Hiszpan katolikiem. Wolność wyznania w całym moim państwie przedsięwziąłem utrzymać". Potem obdarzy równymi prawami Hiszpanów i Anglików.

Bezludna wyspa Robinsona staje się kolonią. Ale jest to kolonia urządzona już na nowy, kapitalistyczny ład. A. A. Jelistratowa w świetnym studium o Danielu Defoe, zamieszczonym w „Historii angielskiej literatury" (Akademia Nauk ZSRR 1945) pokazuje, jak dzieje tej kolonii, opisane w drugiej części „Przypadków Robinsona", odpowiadają dokładnie wyobrażeniom filozofów Oświecenia o społecznym rozwoju i powstaniu państwa. Pierwsi mieszkańcy wyspy żyją początkowo w stanie naturalnej równości. Ale równie naturalna nierówność charakterów wywołuje rychło spory i krwawe walki. Wyspa przechodzi przez swój okres feudalny i pierwsi jej feudałowie napadają na spokojnych mieszkańców, utrzymując, że „gubernator oddał im ten kraj w posiadłość i nikt nie ma na niej prawa sadowić się, budować chat, nie opłaciwszy podatku właścicielom". Rozpoczyna się „wojna wszystkich ze wszystkimi". Ale poczucie wspólnego zagrożenia przez zewnętrznych wrogów zmusza mieszkańców wyspy dla ratowania swej własności, do zawarcia umowy społecznej. Powstaje, jak mówił pan Locke, społeczność towarzyska politycznie urządzona.

Jesteśmy już pod szczęśliwym panowaniem kapitalistycznego prawodawstwa. Robinson „z ogólnym zadowoleniem wszystkich", dokonywa podziału ziemi i wyznacza granice każdej plantacji, zastrzegając sobie w stosownym akcie „własność reszty wyspy, czynsze po latach jedenastu, za okazaniem ekstraktu powyższej umowy, bądź przez niego osobiście, bądź przez osobę upoważnioną do działania w jego imieniu". Ale na wyspie zostało jeszcze trzydziestu siedmiu dzikusów żyjących wolno i co gorsza „prawie zupełnie bezczynnych". Raz jeszcze okazuje się Robinson mądrym ideologiem własnej klasy. Doradza nowemu gubernatorowi, aby ofiarował dzikusom „przesiedlenie i założenie plantacji daleko rozciąglejszych lub też przyjęcie służby u nowych osadników, u których zarabiać mogą na wyżywienie swoje, nie zostając jednak ich niewolnikami... gdyż poddali się oni na mocy kapitulacji, której warunki szanowane być muszą". Tak więc szlachetny Robinson nie tylko że dał swoim kolonistom najlepsze prawa, nie tylko że posłał im trzy krowy dojne i pięcioro cieląt, dwadzieścia świń między którymi trzy prośne, dwie klacze, jednego stadnika i trzy młode kobiety portugalskie „polecając, aby je zaślubiono i obchodzono się z nimi łagodnie i uczciwie", ale zapewnił na swojej wyspie podaż tanich rąk roboczych.

Robinson był jednak purytaninem, który ocenił osobistą wolność i niezależność i nie miał zaufania nawet do własnego króla. Nie chciał brać patentu na gubernatora wyspy ani oddać się pod zwierzchnictwo korony angielskiej. „Ani pomyślałem zakładać osady na rzecz jakiego rządu lub narodu; nie powstało mi nawet w głowie nadanie jakiego imienia mojej wyspie; zostawiłem ją tak jak zastałem ,nie należącą do nikogo, a jej mieszkańców niepodległych nikomu i nie znających innej władzy nad moją, a przecież, jakkolwiek miałem wielki wpływ na nich jako ich dobroczyńca i wybawiciel, władza moja nie miała innej rękojmi, jak tylko dobrowolną ich zgodę".

Tu kończą się dzieje bezludnej wyspy Robinsona. Pozostały nam jeszcze do opowiedzenia losy Piętaszka. Dobry dzikus, który z szydercy feudalnych porządków stał się cywilizowanym służącym, miał śmierć bardzo bohaterską. Kiedy dzicy w czasie ciszy morskiej zaatakowali okręt, Robinson zakazał strzelać i wysłał Piętaszka jako parlamentariusza. Ale Karaibowie nie chcieli go usłuchać i zasypali strzałami. Poczciwy Piętaszek zginął w obronie cywilizacji. Tak bezludna wyspa stała się kapitalistyczną kolonią a oswojony dzikus pozytywnym bohaterem kapitalizmu. Toteż Robinson sprawił mu bardzo przyzwoity pogrzeb.

*

Dzieje „Robinsona Kruzoe" są bardzo znamienne. Książka, nie zauważona przez krytyków i salony, zdobyła sobie olbrzymie powodzenie. Ale widziano w niej przede wszystkim wspaniałą powieść awanturniczą. Dopiero Rousseau w swoim traktacie „Emil czyli o wychowaniu" odkrył w „Robinsonie" wielką powieść o wychowaniu człowieka. „Książka ta — pisał — będzie pierwsza, jaką przeczyta mój Emil, będzie długo sama jedna tworzyć jego bibliotekę, a zawsze zachowa w niej poczesne miejsce. Na niej będziemy badać stopień rozwoju naszych sądów i — póki smak nasz nie ulegnie zepsuciu, będziemy ją zawsze czytać z przyjemnością. Co to za czarodziejska książka? Arystoteles? Pliniusz? Buffon? Nie, to „Robinson Kruzoe".

Wielki plebej pierwszy zobaczył w „Robinsonie" obraz naturalnego człowieka i żądał, aby jego doświadczenia stały się ogólną miarą sądów. „Najpewniejszym sposobem, aby się wznieść ponad przesądy i oprzeć swoje mniemania na prawdziwych stosunkach rzeczy, jest postawić się na miejscu samotnego człowieka i sądzić o wszystkim, tak jak człowiek ten sądził, mając na względzie jedynie własny pożytek".

Jan Jakub nienawidził cywilizacji skażonej nie tylko wszystkimi gwałtami feudalizmu, ale i mieszczańskim postępem. Jan Jakub nie dostrzegł, że w „Robinsonie" nie ma przeciwieństw między naturą i cywilizacją, że człowiek naturalny Daniela Defoe był kupcem i utrzymał się przy życiu na bezludnej wyspie tylko dzięki narzędziom ocalonym z okrętu. Taką robinsonadą w russowskim guście był potem „Paweł i Wirginia" Bernardin de Saint Pierre'a.

Zaczął się teraz okres przeróbek „Robinsona". Za czasów Rewolucji Robinson spacerował po wyspie w stroju starożytnych Rzymian. Był heroiczny i jednocześnie sentymentalny, w typie bohatera „Nowej Heloizy", kawalera Saint Preux. Pobożne refleksje ustąpiły miejsca rozważaniom o cnocie republikańskiej. Kiedy Robinson spostrzegł po raz pierwszy kłosy zboża, zaczął całować ziemię, płakał i wygłosił hymn na cześć Natury. Piętaszek nie opuszcza wyspy, nie jedzie do Anglii, ponieważ jest patriotą i kocha swoją ojczyznę.

W okresie romantyzmu Robinson w płaszczu Byrona, upozowany na „Larę" i „Korsarza", podziwiał wschody i zachody słońca na skałach swojej bezludnej wyspy. W katolickiej Irlandii i w Polsce Robinson przestał być purytaninem i antypapistą, zakazano mu surowo krytykować Rzym. W Ameryce, w czasie wojny domowej, zabroniono na republikańskiej Północy wydawać „Robinsona", ponieważ handlował niewolnikami.

„Robinson" podobnie jak „Gulliwer", oczyszczony z wszystkiego co było w nim drapieżne i wielkie, stał się lekturą dla dzieci. Prawdziwego „Robinsona" zastąpiły przeróbki, z których największą popularność zyskały „Robinson Szwajcarski" pastora Johana Wyssa (1813) i „Nowy Robinson" (1779) Joachima Campe. „Robinson Szwajcarski" zawierał historię ojca i czterech synów na bezludnej wyspie. Był bardzo nudną i bardzo moralną powiastką pedagogiczną dla siedmioletnich dzieci. „Nowy Robinson" Campego, powstał pod wpływem „Emila". Jego bohater własnym przemysłem dochodzi do posiadania wszystkich narzędzi. Ten niemiecki Robinson pisany jest w formie dialogu ojca i dzieci. Ojciec, aby wyrobić w dzieciach siłę woli, każe im pracować całą noc, wystawia warty i zmienia je w takt bębna i piszczałki. Każe również dzieciom uśmiechać się przy rwaniu zęba u dentysty, aby stały się podobne do Robinsona. Sam, chcąc dać przykład hartu ducha, wyrzeka się wina i tabaki. Jest to połączenie okrucieństwa i sentymentalizmu. Całe strony poświęcone są uniesieniom Piętaszka na widok swego ojca. Ten ponury niemiecki Robinson został przetłumaczony na wszystkie języki i wyparł prawdziwego „Robinsona".

Takich smutnych, sfałszowanych klasyków mieszczaństwo ofiarowywało swoim dzieciom. Ale my wrócimy do prawdziwego, pełnego „Robinsona Kruzoe" i do prawdziwych i pełnych „Podróży Gulliwera", aby w tych dwóch wspaniałych książkach młodej burżuazji odnaleźć wielką lekcję historii i wielką lekcję realizmu.

Jan Kott

---

z koperty był niewielki, Niemcy nazwaliby go „schlicht", ale obok tego arkusza leżały w kopercie jeszcze inne papiery. Przeczytałem odpis podania Franza Strenciocha do kancelarii führera z prośbą o udzielenie zezwolenia na zmianę nazwiska: zamiast Strencioch — Stadler. Pod swoim imieniem umieścił imiona swojej żony i czworga dzieci. Żona nazywała się z domu — Szuster. Inny arkusz zawierał rysunek drzewa genealogicznego. Rzuciłem na nie pobieżnie okiem: z rysunku, wykazu imion, nazwisk i dat wynikało, że Strencioch miał aryjskich przodków. Pismo kancelarii führera zawiadamiało, że się zezwala na zmianę nazwiska.

Gdy czytacie te słowa, może wam się wydać, że się chełpię tym, że w moich rękach znalazło się pismo z podpisem tego zbrodniarza. Oczywiście, że nie o przechwałki mi chodzi, bo w licznych procesach powojennych przeciwko zbrodniarzom, które niestety odbywały się w Norymberdze a nie w Warszawie, dokumenty takie, o ile nie były w oryginale dostępne dyplomatom, sędziom, dziennikarzom, to przecież przechodziły przez liczne ręce archiwistów, fotografów, i sporo ludzi mogłoby się pochwalić tym, że miało w ręce papiery z podpisem führera. Więc nie o chełpliwość mi chodzi. Jeżeli wspominam o tym liście, to po to, aby wyjaśnić wam jeszcze jeden szczegół tej olbrzymiej machiny tyranii i dyktatury. Bo pomyślcie; jakiś Wstręcioch-Stręcioch z Bytomia, jakiś twór, któremu kiedyś Polacy osiadli od wieków na tej ziemi przylepili postponujące, piętnujące, niewątpliwie urągliwe i ubliżające przezwisko Wstręcioch - Stręcioch, zwraca się obecnie do głowy państwa po to, aby uzyskać zezwolenie na zmianę tego nazwiska. Dlaczego nie uczynił tego wcześniej? Dlaczego wybrał się z tą swoją prośbą akurat w okresie wojny? Na co czekał? Czy nie na to, aby tę zmianę przeprowadzić wtedy, gdy w chwale zwycięskiej broni niemieckiej stanie na podbitej ziemi tego narodu, który mu kiedyś to urągliwe nazwisko narzucił?

Rano, przy zmianie dniówki, powiedziałem Wawrzyńcowi, aby zawiadomił Szustra, że odebrałem telefon zawiadamiający o odnalezieniu inżyniera F. Czekałem jeszcze kilka minut mimo zmęczenia po całonocnej pracy i gdy Wawrzyniec wrócił, opowiedział mi zasępiony, że Szuster przyjął wprawdzie z radością wieść o odnalezieniu inżyniera, ale jednocześnie polecił mi powiedzieć, iż wobec powrotu inżyniera zwalnia mnie z pracy. Mam zostać, aż się zjawi, by zdać mu moje czynności.

*

Inżynier zjawił się w kilka dni później. Nie było mnie wtedy, przyszedł około południa, gdy ja odsypiałem przepracowaną noc, ale czekał na moje przybycie. Zapomniałem mu wszystkie nieprawości popełnione jeszcze niedawno i przywitanie nasze było w miarę ciepłe, chociaż nie serdeczne. Schudł, sczerniał, ale nosił już swoje dawne, cywilne ubranie. Cieszył się, że zdołał się wyrwać:

— Urwałem się niemal z wagonu, do którego ładowali naszych.

Zapytałem, czy wie, dokąd ich powieźli.

— Nie, nie wiem.

Kilka tygodni później wrócili ci spośród uwięzionych, którzy zdołali zbiec w czasie transportu. Pociąg z Mysłowic, zamiast na Sosnowiec ruszył na Herby, na Częstochowę i tam wyskoczyli, ponieważ zorientowali się, że zamiast zbliżać, oddalają się od domów. Pociąg jechał dalej. Jeszcze później wrócili inni: z Lublina, z Białej Podlaskiej. Tam pognali ich po zaśnieżonych już polach, wygłodniałych, nagich, bezsilnych obstawiwszy ich wojskami SS, które szczuły opadających z sił psami i strzelały do idących. Wybijali Żydów, niedawnych żołnierzy polskich... „Pociąg będzie przystawał na każdym dworcu i każdego Żyda pochodzącego z danej miejscowości, gdzie się pociąg zatrzyma — zwolnią". Już nie należeli do miast, do rodzin. Stacją było zaśnieżone pole i należeli do śniegu, do mrozu, do nocy — nagie trupy, piszczele, które z ziemi jeszcze teraz wywalają wraz z czarną skibą naszę traktory. Stary żydowski Bóg, ponoć bardzo mądry, nie uczynił cudu. Pierzchającym, ukrywającym się po domach i bożnicach w Lublinie, Białej Podlaskiej, Chełmie jacyś nieznani ludzie podawali pokryjomu chleb, szmaty, aby okryli nagość, już nie ludzką, nawet nie zwierzęcą, bo czyż istnieje zwierzę, które w nagości swej czeka, aż je człowiek okryje? Ech, niezwierzęca dolo!

Ludzie się temu przyglądali, widzieli to Polacy i Żydzi, ale spośród Żydów przebywających wówczas w tych okolicach, pewnie żaden nie żyje. Inni ludzie pozostali, wiedzą, wszystko widzieli, a jednak... Gdy płatni „uczeni", „pisarze", „dziennikarze" mówili o Katyniu, nie tylko wówczas, ale dziś jeszcze milczą, a przecież widzieli ten Katyń, ten lubelski, oświęcimski, trebliński...

W tym czasie, koniec 1939 roku, nie było jeszcze Oświęcimia, to co się później tam działo, było ukryte przed ludzkimi oczyma, o ile można ukrywać pożar, ale chłopi okolicznych wsi Białej i Lublina widzieli, jak już wtedy mordowano bezbronnych ludzi: może podadzą szczegóły, nawet nie wiem, nie pamiętam, czy o tym morderstwie mówiło się u nas.

Wbrew zapowiedziom Szuster nie zwolnił mnie. Inżynier F. zważał na produkcję dzienną, ja na nocną, zaś Wawrzyńca przerzucał — jeden tydzień na dzień, jeden na noc. Dlaczego zatrzymywał Wawrzyńca? Był ułomny — oto wszystko. Dyrekcja przewidywała, że któregoś dnia zaczną jej zabierać robotników, najpewniejsi byli więc starzy, ułomni, może nawet — w tym okresie — Żydzi, których jeszcze nie wysyłano ani w głąb Rzeszy ani gdzie indziej. Polaków wysyłano już. Zwłaszcza młodzież.

Inżynier F i ja niedługo jednak mieliśmy pozostać w fabryce. Strencioch-Stadler i Szuster poczęli sprowadzać swoich bliskich, członków rodziny, którymi obsadzili biuro, usuwając dawnych pracowników Polaków, wreszcie jeden z nich zaczął urzędować na fabryce, „ucząc się" nowego zawodu. Nie był chemikiem, na produkcji się nie znał i jednym z pierwszych jego posunięć było pozyskanie starych hutników, aby mu „pomagali". Robotnicy zorientowali się, o co chodzi, i odparli, że wiedzą tylko, jak wsuwać płyty cynku do pieca: ile tego cynku należy spalać i jakiego gatunku — tego nie wiedzą; na tym się nie znają, te sprawy określa inżynier F. i ja. Nowy szef ograniczał swoje czynności do kontroli, do przejmowania wykazów zawierających cyfry sprowadzonego i zużytego surowca, przesiadywał zresztą większość dnia w wydziale korespondencji, gdzie pracowały dwie jego siostry. Szuster sam zabiegał o cynk, o klepki, z których zbijano beczki, o obręcze, którymi opasano beczki. Zadań miał dużo: dopóki starczyło surowca wszelakiego rodzaju, tak długo fabryka mogła być w ruchu: oznaczało to zarazem tworzenie szans zarówno dla siebie, jak i dla Stadlera i jego bliskich, aby pozostać na miejscu. Unieruchomienie fabryki oznaczało dla nich wcielenie do wojska. Inżynier F. i ja stanowiliśmy dla nich część tego surowca, bardzo ważny fragment tego ruchu. Aby się uniezależnić od hut, które w każdej chwili mogły przerwać dostawy, zapoczątkował akcję skupu blachy cynkowej, której było wówczas mnóstwo po wypalonych i zbombardowanych miastach polskich. Blachę tę przetapiano w szopie na terenie naszej fabryki. Była to czynność, która nigdy się nie opłacała. Nigdy? Bo kiedyż to tyle blachy cynkowej leżało pod gołym niebem co teraz?

W połowie grudnia 1939 roku komendant policji zarządził, aby Żydzi nałożyli opaski. Dopóki nie było tych zewnętrznych oznak, mogliśmy się pokazywać niemal wszędzie: obecnie nawet wstęp na fabrykę został nam zabroniony. Inżynier F. i ja straciliśmy pracę. Przypuszczam, że zarządzenie to nie zostało przyjęte z zadowoleniem przez Stadlera, nie mógł jednakowoż podjąć żadnej interwencji, aby mu pozwolono zatrzymać dwóch pracowników. Jakżeż to Kreisleiter NSDAP móg interweniować w sprawie Żydów! Możliwe, że powodowały nim jeszcze jakieś obiekcje. Żądanie przydzielenia mu z powrotem tych pracowników mógł motywować tylko tym, że posiadają wysokie kwalifikacje jako chemicy i gdyby ujawnił, że tych chemików nie ma, obojętne z jakich powodów, mogli mu nakazać przyjęcie chemika „aryjskiego", Polaka lub Niemca. Tymczasem nikt nie znał nowego systemu produkcji i wobec tego być może nakazanoby mu zamknięcie fabryki. Surowiec przydzielonoby innym, podobnym zakładom — Stadler i jego bliscy poszliby do wojska. Pozostało jeszcze inne wyjście: zwalić istniejące obecnie urządzenia i wrócić do dawnego systemu produkcji; ale na to żadna władza by się nie zgodziła. Inwestycja miała być zresztą kapitalna, a wojna przecież dopiero się zaczęła.

Rozstałem się z Wawrzyńcem i gdy zapytał, co będę robił, z czego będę żył, niebardzo umiałem mu odpowiedzieć.

Pracę otrzymałem w kilka tygodni później. Tworzyły się wówczas w naszym mieście wielkie warsztaty krawieckie, w których mieli być zatrudnieni sami Żydzi. Ot, taka produktywizacja trupów. W ciągu jednej doby „przestawiłem się", stałem się pracownikiem wielkiego zakładu, który zatrudniał początkowo kilkaset, następnie kilka tysięcy ludzi. Oczywiście nic nie umiałem. Moje studia w Liege i Montpellier okazały się niepotrzebne.

Urzędniczka przyjmująca moje zgłoszenie, zapytała:

— Pan jest krawcem?

Uśmiechnąłem się. W pytaniu urzędniczki brzmiało wyraźne niedowierzanie. Swoim wątpliwościom dała wyraz w tych oto słowach:

— Myślę, że tu będzie dla pana dużo pracy, tylu ludzi zatrudnimy! Ale pan mógłby u nas robić coś bardziej pożytecznego.

— Co mianowicie?

— Przecież pan pisze, mógłby pan na przykład napisać coś dla ludzi...

— Czy pani sądzi, że ludzi interesuje teraz poezja?

— Może nawet i tak, poezja bywa różna. Można na przykład napisać o wschodzie słońca lub o tym, że bez kwitnie wiosną, ale to teraz naprawdę nikogo nie interesuje.

Zostałem prasowaczem. Praca była ciężka, ale nie wymagała specjalnych kwalifikacji. Cały dzień stałem w mrocznym pokoju, którego okna wychodziły na ciemne podwórze okolone czterema czteropiętrowymi oficynami, przybijając ciężkim elektrycznym żelazkiem spodnie i bluzy wyrzucane w wielkich ilościach z warsztatów. Mieściły się one w kilku domach, porozrzucanych po całym mieście a opróżnionych specjalnie pod te warsztaty.

Również inżynier F. znalazł u nas zatrudnienie. Początkowo był, tak jak ja, prasowaczem, ale z czasem zmienił stanowisko. Niemcy zarządzający warsztatami spostrzegli się, że zaczynają ginąć jakieś materiały, szpulki z nićmi, materiały podszewkowe, nawet guziki. Utworzyli straż fabryczną wyposażoną w mundury i czapki: wartownicy mieli kontrolować wchodzących i wychodzących robotników, czy czegoś nie wynoszą. Wśród zgłaszających się do straży znaleźli się ludzie szukający łatwych zajęć, a inżynier F. był jedynym wśród nich inteligentem. Został komendantem straży. Początkowo ukrywał przede mną zamiar zmiany zajęcia, ale gdy go ujrzałem w bramie, którą wychodziliśmy po pracy, rewidującego robotników, powiedziałem głośno:

— Dochrapałeś się. Marzyło ci się zdobycie Uralu, a teraz rewidujesz robotników, czy nie wynoszą szpulki z nićmi.

Aluzja moja była wyraźna. Godziła nie tylko w inżyniera, określała raczej sytuację na froncie wschodnim, który już był ruchomy z wyraźną tendencją cofania się wstecz. Niebawem i my mieliśmy odczuć konsekwencje zwycięstw Armii Czerwonej. Niemcy rugowali nas z mieszkań i domów, wpychali nas powoli, ale w sposób przemyślny do getta, zajmując poszczególne odcinki ulic, potem całe ulice. Proces był powolny, ponieważ miasto moje, o ile je znacie, nie posiada ani okazałych ulic ani

ARIADNA DEMKOWSKA

IV Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Mariańskich Łaźniach

W końcu lipca i na początku sierpnia odbył się w Mariańskich Łaźniach czwarty Międzynarodowy Festiwal Filmowy, na którym 19 państw zaprezentowało swój dorobek w dziedzinie filmów fabularnych, dokumentarnych, rysunkowych i kukiełkowych.

Mariańskie Łaźnie to dawny Marienbad, typowy „kurort" o starej sławie. Wczasy pracownicze nie zdążyły jeszcze wycisnąć na tej miejscowości wyraźnego piętna ostatnich przemian. Secesyjne fasady, pokryte żółtym i różowym tynkiem, kosmopolityczne nazwy, złotymi literami malowane na frontonach hoteli, uliczki, chrzczone imionami znakomitości ubiegłego wieku, które odwiedzały Marienbad, — wszystko to pachnie jeszcze tym historycznym „przedwczoraj", od którego czujemy się dziś prawie tak dalecy, jak od początku świata. A pachnie tak mocno, że nie zdziwiłaby pewnie nikogo w cichej uliczce sylwetka damy o wydatnym biuście i kolanach, spętanych długą, wąską spódnicą, sunącą pod koronkową parasolką do — iluzjonu, na „silny dramat erotyczny z życia salonowego"! Niecałe 50 lat dzieli nas od tych pierwszych, niemych filmów! A już te czasy wydają się nam nierealne! Stąd wiele zupełnie specjalnego smaku krył w sobie stary Marienbad jako dekoracja dla festiwalu, który domaga się w sztuce filmowej realizmu! Którego hasło brzmi: „O nowego człowieka, o lepszą ludzkość". Który — jedyny na świecie — wolny jest od targujących się handlarzy i zdemoralizowanych „gwiazd", a gromadzi i jednoczy wszystkich, zatroskanych o los sztuki filmowej, zdolnej i obowiązanej walczyć o pokój, o sprawiedliwość, o lepszy świat.

W ciągu dwu tygodni obejrzeliśmy 32 filmy pełnometrażowe i 59 krótkometrażowych. Przeciętnie licząc po pięć godzin dziennie spędzaliśmy w ciemnej sali, z oczami utkwionymi w prostokątny kawał płótna, który dzięki cudom techniki i sekretom sztuki, ożywiał się postaciami coraz to innej narodowości, wypełniał obrazami różnych krajów, opowiadaniami o wszelkich ludzkich sprawach, dając nam wreszcie złudzenie, że nie ruszywszy z miejsca objechaliśmy wszystkie lądy, i jak Faust, nie straciwszy nic ze swojej młodości, przeżyliśmy wiele istnień.

Nie znaczy to wcale, że ta wielka wystawa filmów była zbiorem doskonałości. Przeciwnie. Jedna czwarta nadesłanych filmów to filmy nieporadne, naiwne, czasem zdecydowanie nudne. Należy tu wspomnieć przede wszystkim o produkcji skandynawskiej, (Szwecja, Dania, Norwegia): w sumie 5 filmów długich, z których żaden nie wzbudził zainteresowania ani swoją treścią, ani formą.

Meksyk od czasu „Marii Candelarii" uparcie eksploatuje swój folklor i piękny pejzaż. Zdobył nawet nagrodę za najlepszą fotografię w filmie „Maclovia" reż. Fernandeza i operatora G. Feguery. Niewątpliwie dzięki znakomitym zdjęciom znalazło się w filmie wiele z urody tego kraju i jego ludzi, ale los pięknej Maclovii nikogo nie wzruszył. Wydaje mi się to winą właśnie fotografii, zbyt pięknej, wypieszczonej, despotycznie podporządkowującej sobie inne elementy filmu, w efekcie—nadającej całości charakter wyraźnie formalistyczny. Bardziej ludzki i bliższy prawdy wydał mi się Meksyk w wyświetlanej u nas w ub. sezonie „Zapomnianej wiosce" wg. scenariusza Steinbecka.

Jedynym filmem festiwalu, który nie dostał ani jednego oklasku była angielska „Niebieska blizna" reżyserii pani Jill Graigie i Williama Mc Quitty. Film ten wyprodukowany został poza koncernem Ranka, zawiódł jednak całkowicie nadzieje, jakie wiązano z tym faktem. Historia z życia górników walijskich, w większej części zredukowana do banalnego romansu, raziła dotkliwie brakiem wyrazu ideowego i artystycznego, zwłaszcza w porównaniu ze świetnymi filmami, francuskim i niemieckim na tenże sam temat.

Ilością, jakością i wagą tematyki pierwsze miejsca zajęły filmy sowieckie. „Stalingradzka bitwa" reżysera W. Petrowa i scenarzysty N. Wirty zdobyła Wielką Nagrodę Festiwalu. Stworzyć obraz największej bitwy świata w jej aspekcie politycznym, dyplomatycznym i strategicznym — to imponujące zamierzenie. Ukoronowane sukcesem. Obraz zadziwia swoją przejrzystością, oszałamia rozmachem. Jest to tylko pierwsza część trylogii, druga i trzecia („Zagłada Berlina") są jeszcze na warsztacie.

„Spotkanie na Łabie" reżysera G. Aleksandrowa dostało Nagrodę Pokoju. Zobaczymy ten film niebawem na naszych ekranach, nie będę się więc rozwodzić nad jego walorami. Dodam tylko, że przy całej wadze swoich założeń tematycznych, dzieki którym był rzeczywiście bezkonkurencyjnym pretendentem do Nagrody Pokoju, film ten jest komedią, noszącą wszystkie cechy pełnej fantazji i humoru indywidualności Aleksandrowa, twórcy komedii „Świat się śmieje".

I jeszcze parę słów słów o — „Akademiku Pawłowie". W najtrudniejszym bodaj gatunku — w filmie biograficznym — scenarzysta M. Papawa, reżyser G. Roszal i aktor A. Borysow osiągnęli godne zazdrości, podziwu i naśladowania wyżyny. Trudno by mi było dokładnie wytłumaczyć, dlaczego ten film mnie wzruszył. Może to za sprawą Borysowa: dostał on za swoją kreację aktorską nagrodę, a dzięki tej kreacji staliśmy się świadkami niemal zmartwychwstania Pawłowa... Może dlatego że realizatorzy filmu potrafili opowiedzieć to wielkie i bogate życie nie tylko z techniczną zręcznością ale i w taki sposób, że cała jego wielkość i patos znalazły kształt bardzo prosty i bardzo ludzki. A może po prostu dlatego, że życie każdego wielkiego człowieka, kiedy się na nie spojrzy jak na zamkniętą całość, to zawsze temat wzniosły i wzruszający, bo elementy wielkości są wciąż te same: miłość i poświęcenie dla idei, praca, wysiłek, walka...

Sprawa jednak nie jest tak prosta. Przekonał mnie o tym film Christiana Jacques'a „D'Homme à Homme", biografia założyciela Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Henri Dunant to postać tragiczna w swoim losie i nie pozbawiona cech prawdziwej wielkości. Ale: — znakomity Jean Louis Barrault kreujący jego postać nie mógł sobie dać rady z nieodpowiednią dla siebie rolą i w głównej postaci czuło się kostium i maskę w sposób natrętny, scenarzysta potraktował temat płytko i sentymentalnie, a reżyser, twórca „Pustelni Parmeńskiej", budził podejrzenia, że osobą bohatera posłużył się jako pretekstem do odtworzenia na ekranie bitwy pod Solferino i oblężenia Paryża w 1871 r. W efekcie — ładunek wzruszenia, zawarty w samym temacie, do widza dotarł w stopniu minimalnym.

Francuzi pokazali też uroczą komedię realizacji Jean Dreville'a, „Parade du temps perdu" („Czas to pieniądz"), której scenariusz napisał i główną rolę zagrał Noel-Noel. Jest to satyra o temacie dość wąskim, o formie chwilami zbyt wyszukanej, przemyślnej, przeładowanej technicznymi trickami, — lecz mimo tych niedociągnięć niezwykle świeża, inteligentna i cenna. Chodzi w niej bowiem o tych wszystkich, którzy nieobjęci prawem karnym, popełniają codzień przestępstwo kradzenia bliźnim czasu. O nudziarzy, gadułów, niefortunnych kawalarzy, o tak zwane „piły" przed którymi ucieka się na drugą stronę ulicy, o konferansjerów i zamiłowanych mówców... Oby tylko ci wszyscy (a może po prostu — my wszyscy?) rozpoznali siebie na ekranie!

Obecny na festiwalu Louis Daquin zaprezentował osobiście własne dzieło, „Le point du jour" („O świcie"), film o górnikach francuskich. „Nie mogliśmy pokazać ostatnich strajków górniczych" — powiedział w słowie wstępnym, — mogliśmy pokazać tylko dzień powszedni francuskiego górnika, i na tym tle ten typ człowieka, obdarzonego poczuciem odpowiedzialności i odwagą cywilną, który w naszej walce o przemiany społeczne pozwala nam mieć nadzieję na przyszłość". Mimo braków scenariusza film Daquina, utrzymany w tonie szlachetnego realizmu należy niewątpliwie uważać na tle obecnej produkcji francuskiej za duże i cenne osiągnięcie.

Byłam bardzo ciekawa filmów z sowieckiej strefy Niemiec. Muszę przyznać, że to pierwsze z nimi spotkanie po wojnie nie było rozczarowaniem. „Kopalnia Jutrzenka" reżysera Schleifa i Freunda to film bardzo interesujący. Akcja ma miejsce w jednej z kopalń niemieckich w 1931 roku. Walka górników z właścicielami kopalni, katastrofa, strajk, wreszcie końcowy akcent optymistyczny—chwila, w której górnicy — już po wojnie — obejmują upaństwowioną kopalnię, składają się w sumie na pasjonującą historię o silnej wymowie ideologicznej, opowiedzianą z werwą i znajomością rzemiosła. „Afera Bluma" reż. E. Engelsa to próba pokazania, na przykładzie słynnego procesu z roku 1926, przenikania hitleryzmu do sądownictwa niemieckiego. Wyświetlono też poza konkursem film Kurta Maetziga „Die Buntkarierten", historię drobnomieszczańskiej, raczej rzemieślniczej rodziny berlińskiej na przestrzeni ostatniego półwiecza. Oba te filmy cechuje również wysoki poziom rzemiosła i zdrowe tendencje realistyczne, choć — trzeba przyznać — do zagadnienia hitleryzmu, jego genezy i ostatecznego z nim rozrachunku podchodzą jeszcze dość nieśmiało, nawet trochę tchórzliwie.

Czesi, mili gospodarze festiwalu, wystąpili z przyjemną lekką komedią „Motocykle" reżyserii M. Frica, i z filmem młodziutkiego reżysera, Wacława Gajera, „Pan Habetin odchodzi". Obydwa te filmy zobaczymy na naszych ekranach.

„Scott na Antarktydzie", historia jego ostatniej wyprawy i śmierci, to temat angielskiego filmu produkcji Eagle Lion Studio w koncernie Ranka. Główna wartość tego filmu leży w tym, że realizowano go z ogromnym pietyzmem dla wierności historycznej, w oparciu o wspomnienia żyjących jeszcze uczestników tej wyprawy, pamiętniki, dokumenty. Niestety, świetne plenery, kręcone częściowo na Antarktydzie, częściowo w Szwajcarii, dużo straciły przez zastosowanie koloru. Reżyserował Charles Frend, w roli głównej świetny aktor John B. Mills.

Hollywood zaprezentował szczytowe swoje osiągnięcia ostatniego okresu. „Johnny

Scena z filmu „Spotkanie na Łabie" (prod. radziecka)

A Borysow (po prawej) w filmie „Akademik Pawłow" (prod. radziecka)

Jane Wyman w filmie „Johnny Belinda" (prod. amerykańska)

Scena z filmu „O świcie" (prod. francuska)

„Scott na Antarktydzie" (prod. brytyjska)

---

pięknych domów. Początkowo wynajdywali najładniejsze, ale w miarę jak napływali na nasze tereny, sięgali już do mniej ładnych. Plan zamykania nas był rozległy, przemyślany, musieli mieć sporo czasu na jego wykonanie. W naszym mieście było wówczas trzydzieści tysięcy Żydów. Niemniej szykowali się do walnej rozprawy z nami, ale spokój panujący jeszcze wówczas u nas był pozorny. Do zachowania tego spokoju, do zachowania pozorów pomagała im również Rada Starszych.

Przedstawiciele tej rady odwiedzali często warsztaty i w rozmowach przekonywali ludzi, że „tylko praca nas uratuje; pracujcie więc i nie myślcie o innych sprawach".

Myśleliśmy o „innych" sprawach. Nadchodziły wiadomości o tym, co się dzieje w Generalnej Gubernii, jakieś głuche wieści mówiły o obozie w Oświęcimiu, gdzie ludzie są cały dzień zatrudniani — podobno — przy przewożeniu piachu z jednego miejsca na drugie, bezcelowo, ot tak sobie, byle robić. Jeszcze inni twierdzili, że podobno... Nikt nie mógł powiedzieć niczego bliższego.

*

Pracę rozpoczęliśmy w tajemnicy nie tylko przed Niemcami, ale również przed strażą warsztatów złożoną z Żydów, przed urzędnikami i wysłannikami Rady. Było nas początkowo czterech, dwaj bracia C. i Szmul W., fryzjer i amator radiotechniki zarazem — wszystko starzy komuniści, znani mi jeszcze z okresu przedwojennego.

Bracia C. nie zawsze byli w zgodzie z partią. Tworzyli kiedyś jakąś frakcyjkę na naszym terenie, odsunęliśmy się od nich, a teraz znów się zjawili. Mówiłem z nimi raz i drugi, i doszliśmy do porozumienia, stwierdzając, że obecnie nic nas właściwie nie dzieli, wróg jest określony, sytuacja niedwuznacznie jasno określona, jak chyba nigdy w dziejach. Byli Żydami — ten fakt jeszcze bardziej jaskrawo określał ich sytuację, a poza tym — myślałem — jaką frakcję mogą jeszcze teraz tworzyć?

Szmul W. był fryzjerem, ale od wielu lat nie uprawiał już tego zawodu. Prowadził kiedyś niewielki zakład odwiedzany tylko przez towarzyszy i biedotę dzielnicy, w której zamieszkiwał. Za ciemnym przepierzeniem rozkładaliśmy literaturę, dzieląc ją pomiędzy kolporterów i towarzyszy z propagitu, a w dni, gdy odbywały się zebrania kół, Szmul W. zamykał po prostu od ulicy zakład na kłódkę, zostawiając nas samych w ciemnościach po kilka godzin. Gdzieś w 1928 roku uroiło mu się, że właściwym jego powołaniem jest radiotechnika. Ten zahukany i szczuty człowiek utonął, dosłownie, w fachowej literaturze, potem godzinami przesiadywał w swoim fryzjerskim zakładzie już to klecąc coś, już to składając jakieś części, które się miały złożyć na aparat radiowy. Jeśli można go było nazwać dziwakiem, to nie był on jedynym dziwakiem w naszym ruchu. Było wielu takich: starym towarzyszom przypomnę chociażby towarzysza Grosmana z Zawiercia (do dziś pamiętam: Górnośląska 10), zegarmistrza, komunistę, który oglądał świat oczyma Chagala: miał oczy, w których rzeczywistość, ta realna, fizyczna, nie odnajdywała najmniejszego odbicia. Żyła poza nim w najidealniejszym wyodrębnieniu: był marzycielem komunizmu. Byli tacy: każdy marzyciel widzący świat szczęśliwości ludzkiej, jest potencjalnie komunistą.

Nie wiem, jak zginął towarzysz Grosman, ale jestem pewien, że wszelki ból i wszelkie cierpienie przyjął jak apostoł: im mocniej biło go życie, tym piękniejszą widział przyszłość. Spotykałem w obozach hitlerowskich kapłanów katolickich, którzy postępowali jak komuniści. Byli to dobrzy towarzysze. Ratowali człowieczeństwo, którego nie ma w Rzymie.

Wróćmy jednak do Szmula W. Zajęcia radiotechniczne spowodowały, że zaniedbywał zupełnie i tak nieszczęśliwie prowadzony zakład, niewielkie zaś zarobki tracił szybko, instalując je w swój nowy, umiłowany zawód. Myśmy sporo zyskali na tych zajęciach: można było godzinami przesiadywać w zakładzie, niby to czekając na golenie, bo to właśnie „pan mistrz" kończy składanie aparatu, po czym zabierze się do pracy „zawodowej", to znaczy do usuwania zarostów. Z czasem doszedł w nowym zawodzie do perfekcji: stał się jedynym fachowym radiotechikiem naszego miasta. Wiecznie wnosił zapach klejów, lakierów i można było oczekiwać, że któregoś dnia zamiast po brzytwę sięgnie po jakąś skalę rozdzielczą, aby nią usunąć zarost.

Możliwe, że zbyt rozwlekle opowiadam o moich towarzyszach, zwłaszcza o Szmulu W., ale zaraz wyjaśnię a raczej już wyjaśniłem, dlaczego się znalazł w pierwszej czwórce.

Zaraz po wkroczeniu Niemców zarządzono, aby wszyscy oddali radioaparaty, lornetki i maszyny do pisania. Trudno mi powiedzieć, ile aparatów odniesiono do gmachu gimnazjum, które Niemcy zamienili w magistrat. Wkrótce jednak okazało się, że wszystkie niemal aparaty, zwłaszcza te o wyższej jakości, mają jakieś braki. Niemcy przywozili z sobą jakieś volksempfängery, liche, taniutkie skrzyneczki, tu zaś mieli do wyboru wspaniałe wiedeńskie a nawet angielskie odbiorniki. Wybierali więc, ale gdy się okazało, że nie funkcjonują, zaczęli szukać radiotechników. Widocznie ich nie mogli znaleźć, bo zwrócili się oficjalnie do Rady Starszych z żądaniem dostarczenia im takiego człowieka. Znaleźli go. Po przez Radę zawiadamiali za każdym razem towarzysza Szmula W., gdzie się ma zgłosić; zjawiwszy się zapytywał naiwnie Niemca, czy ma jakieś dogodne miejsce w mieszkaniu, gdzie mógłby spokojnie rozebrać, sprawdzić, a potem złożyć z powrotem rozebrane części. „Jak długo to będzie trwało?" Szmul namyślał się, znów postukał, pokręcił i rozkładając ręce, mówił: „no, jakieś trzy dni". Niemiec chwytał się za głowę, nie ukrywając przerażenia.

— Was denken Sie, Żyd ma siedzieć w moim mieszkaniu trzy dni? O, nein, ausgeschlossen, zabierz już to raczej do domu i niech cię nie oglądam.

W mieszkaniu Szmula było jednocześnie kilka aparatów i poleciwszy żonie, aby stała u wejścia, które wiodło prosto z ulicy do wąskiej izby przedzielonej drewnianą ścianką, słuchał Moskwy, Londynu...

Powiedziałem mu: notuj, notuj dokładnie.

Odpowiadał:

— Po co mam notować? Wszystko mam tutaj — i wskazywał palcem na czoło. Codziennie podawał nowe wiadomości, które kolportowaliśmy, opowiadając zaufanym znajomym najnowsze wieści. I wtedy pomyślałem o Wawrzyńcu: przecież te wiadomości ,te codzienne komunikaty mogą mu być potrzebne!

Odcinki ulic, które wiodły do fabryki, nie były jeszcze objęte zakazem chodzenia. Minąłem most i gdy u bramy poprosiłem, aby wezwano Wawrzyńca, portier odpowiedział:

— Wawrzyniec już nie pracuje. Zresztą wszyscy przestaniemy robić, cynk się kończy.

Wiedziałem, gdzie mieszka, ale na Koszelew niesposób było pójść. Nosiłem opaskę, mogłem najwyżej dojść do mostu i pobliskiej uliczki.

W tym czasie zaczęli nas wpychać do getta. Opuszczaliśmy w pośpiechu zajmowane do tej pory domy, opróżniając całe ulice. Wyrzucali nas za miasto do Dzielnicy Kamiennej, o której wam opowiadałem już przy innej okazji, dlatego pominę obecnie te szczegóły. Do pracy jednak szliśmy nadal przez miasto odprowadzani przez milicjantów żydowskich, którym przewodził obecnie inżynier F. Powierzono mu całkowitą władzę nad mieszkańcami Dzielnicy a sprawował ją w pełni właśnie wtedy, gdy opuszczaliśmy Dzielnicę, aby się udać do warsztatów. Sytuacja mieszkańców Dzielnicy pogarszała się z każdym dniem. Zaczęło się od przymusowej wywózki niezatrudnionych, wywozili ich do jakichś bliżej nieokreślonych miejscowości, ale już uprzednio przy zajmowaniu mieszkań w Dzielnicy Kamiennej ujawniły się bardzo ostre zatargi, których ofiarami padali najbiedniejsi, podobnie jak obecnie przy wyznaczaniu kontyngentu przeznaczonego do robót przymusowych. Postanowiliśmy ze Szmulem W. i braćmi C. temu przeciwdziałać. Mówiliśmy przy pracy głośno o nieprawościach i niesprawiedliwościach i wówczas to jeden z braci wpadł na fatalną myśl: trzeba porozmawiać z przewodniczącym Rady i zwrócić mu uwagę na dziejące się akty gwałtu, które uderzają w biedotę.

— Jakże więc, chcesz pójść do M.? Z nim, z agentem gestapo chcesz pertraktować? Czyś oszalał?

— Tak. Jestem przekonany, że skoro mu powiemy, w czyim imieniu przychodzimy, to zmieni kurs.

— Stuknij się w głowę! Przecież on jest wykonawcą określonej polityki klasowej, czy łudzicie się, że gdyby nawet był uczciwym człowiekiem i zechciałby okazać się mniej wszechwładnym wobec swych braci, czy sądzicie, że zdoła coś wskórać u Niemców? Przecież mieszkania są potrzebne, ulice, więcej domów!

— Nie o Niemców chodzi. Chodzi o Żydów, żeby ich traktował jednakowo.

— W imię czego? W imię jakiej etyki? W imię ponadklasowego stanowiska żydowskiego króla?

Szmul i ja byliśmy przeciwni podjęciu pertraktacji. W braciach C. zaś obudziło się dawne wichrzycielstwo, ale to nie jest najwłaściwsza nazwa dla ich ówczesnego postępowania. Czy byli naiwni? Może. Czy byli niedojrzali politycznie? Napewno tak. Widząc ich upór zażądałem, aby nas zapewnili, że wobec M. nie wystąpią jako reprezentanci jakiejkolwiek grupy, oraz, by w żadnym wypadku nie wymieniali nazwisk osób, z którymi się stykają. Złożyli takie oświadczenie, po czym udali się do przewodniczącego Rady.

Sekretarz jego nie chciał ich początkowo dopuścić: pan przewodniczący jest zajęty.

— Proszę mu powiedzieć, że czekają bracia C.

Wspomniałem już, że obaj bracia byli znani jako komuniści, znał ich również M., jeśli nie osobiście, to z nazwiska. Gdy mu sekretarz powiedział, kto pragnie z nim mówić, okazało się, że nagle ma czas i przyjął ich niezwłocznie. Bracia C. opowiedzieli mi jeszcze tego samego dnia przebieg rozmowy. Przewodniczący przyjął ich więcej niż serdecznie i gdy mu opowiedzieli powszechnie znane fakty, dotyczące bestialskiego postępowania milicji żydowskiej wobec biedoty w getcie, jako to w wypadkach przydziału mieszkań, dostarczania kontyngentu itd. itd., przewodniczący okazał żywe zaniepokojenie i zdziwienie zarazem.

— Nie znałem tych zjawisk, nie mogłem znać w nawale moich odpowiedzialnych zajęć, ale skoro panowie mi o tym mówicie, to wierzę. Natychmiast wejrzę w te sprawy.

W ich obecności wezwał komendanta milicji, inżyniera F., i zapowiedział, aby te praktyki natychmiast ustały.

— Albo jesteśmy wszyscy braćmi, równymi wobec losu, jaki dotknął nasz naród, albo pożremy się wzajemnie i zwracając się do komendanta, powiedział:

— Wierzę tym panom, znam ich od dawna, to radykalni działacze i ich głos w obronie biedoty musi być uwzględniony.

Przyjąłem tę relację z niedowierzaniem. Powiedziałem, że polecenie przewodniczącego jest perfidne i że przyrzeczenia nie zostaną wykonane. Ciągnąłem dalej, widząc wszystko ostro:

— Jeszcze gorzej będzie, jeśli pozwoli sobie na jakiś niewiele znaczący gest i zechce nas, komunistów, wykorzystać do jakiejś współpracy. Powoływanie się na współpracę z „radykalnym elementem" ułatwi mu zadanie wobec biedoty. Nie doszło do tego. W nocy zajechało przed dom, w którym mieszkali bracia C., gestapo i zabrało obu. Kiedy i jak zginęli, nie zdołałem ustalić.

Stanisław Wygodzki.

Dokończenie w następnym numerze.

Belinda" reż. J. Negulescu, to historia głuchoniemej, nie wiem, czy nie bardziej ludzka i bardziej filmowa od pokrewnej tematycznie słynnej „Symfonii Pastoralnej" Wyżej w każdym razie stawiam brzydką i pełną wdzięku Jane Wyman od pięknej ale zimnej Michele Morgan. Jeden aktor nigdy jednak nie uratuje całego filmu — i „Johnny Belinda" jest niestety tylko ckliwym melodramatem. „Skarb z Sierra Madre" rezyserii Johna Hustona z Humprey Bogartem w roli głównej to opowieść z dzikiego zachodu, miejscami bardzo naturalistyczna i bardzo brutalna. Jej zamierzony realizm bankrutuje wskutek nieznośnego przerysowania „czarnego charakteru".

Coś dla amerykańskiego gustu, dla niezdrowej sensacji daje się też wyczuć w jedynym włoskim filmie, jaki obejrzeliśmy w ramach konkursu, w filmie Alberta Lattuady „Bez litości" („Sensa pieta"). Włochy powojenne, Military Police, gospodarczy kryzys — to kraj i społeczeństwo bez litości — ale dla kogo? Dla ulicznej dziewczyny i Murzyna, który spekuluje na czarnym rynku, choć służy w tejże M. P. W tych warunkach oskarżenie pod adresem aliantów traci nieco na sile, i choć świadome i odważne, i poparte świetną fakturą estetyczną, nie jest celne.

Wreszcie — dwie największe rewelacje festiwalu. Pierwsze — to film Paula Stranda i Leo Hurwitza — „Ziemia rodzinna" („The native land"), nagrodzony za najlepszy scenariusz. Jest to wspaniały pamflet na Amerykę, operujący materiałem dokumentarnym i rekonstrukcją wydarzeń prawdziwych, ujętych w formę krótkich opowiadań. Odsłaniają one machinację Ku-Klux-Klanu, kapitalistyczne akcje antyrobotnicze, pierwsze zbrodnie, popełnione na demokracji w latach trzydziestych. „Ziemia rodzinna" została zrealizowana na początku wojny, rzecz jasną, nie w Hollywoodzie! Na festiwalu reprezentowała Amerykę autentyczną, lud amerykański walczący z rodzimym faszyzmem.

Druga rewelacja — to film węgierski „Piędź ziemi" reżyserii Frygjes Bana, poruszający problem walki klasowej na wsi węgierskiej przed ostatnią wojną. Jest to przeróbka filmowa powieści chłopskiego pisarza Szabo Pala. Nie wiem, czy powieść w adaptacji zyskała, czy straciła, bo nie znam powieści. I nie to zagadnienie uważam dla filmu za decydujące. Godnym uwagi jest fakt, że niewątpliwie jeden z najlepszych filmów festiwalu, a jedyny, moim zdaniem, w którym znaleźliśmy wreszcie bohatera pozytywnego w tym nowym, socjalistycznym sensie, a jednocześnie bardzo prawdziwego i ludzkiego, to właśnie film, który wyszedł z powieści, czyli oparł się na temacie już przemyślanym, przeżytym przez pisarza, intelektualnie zorganizowanym. Ocenić przydatność filmową tematu, opracować go w ramach specyfiki filmu, słowem, przejść od papieru do taśmy filmowej — to droga długa i ciężka.

Realizatorzy „Piędzi Ziemi" w całej pełni zasłużyli na jedną z trzech wielkich nagród, na „Nagrodę Pracy".

Wspomniałam na początku, że projekcje festiwalowe przez swą ilość i różnorodność wzbogaciły nasz obraz świata. Po tym pobieżnym ich przeglądzie chcę jeszcze dodać, że wzbogaciły również nasze doświadczenie filmowe. Zobaczyliśmy, że film w walce o nowego człowieka i lepszą ludzkość musi być odważny, sprawiedliwy i piękny, że musi wskazywać człowiekowi nowe perspektywy. Film naprawdę realistyczny musi być narodowy. A jeśli ma trafić do tego najświeższego, prostego widza, musi być też zawsze interesujący w najprostszym znaczeniu tego słowa. Czy nie za dużo wymagań? Nie. Dowiodły tego filmy nagrodzone, zawierające wszystkie te elementy w stopniu wysokim, choć może jeszcze nie doskonałym. Wobec tego — jak się takie filmy robi? Ba! Sztuka nie zna recepty na sukces artystyczny. Szuka jej zawsze każdy artysta i zawsze szuka od nowa. Jedno jest tylko pewne: festiwal w Mariańskich Łaźniach dowiódł, że dopiero w atmosferze wielkich przemian społecznych i intensywnej pracy narodu nad samym sobą może powstać wielka sztuka filmowa, która da świadectwo naszym trudnym a wielkim dniom.

Ariadna Demkowska

JERZY KOWALEWSKI

W sprawie „Siódmego Krzyża"

Bardzo niewiele jest książek pisarzy niemieckich, które by jednocześnie uczyły i dawały artystyczny obraz prawdy o faszyzmie hitlerowskim, o jego mechanizmie i metodach działania, o źródłach jego początkowej siły i późniejszej, katastrofalnej klęski. Bardzo niewiele powstało takich książek w okresie do 1939 r. w ciągu wojny i nawet w ciągu lat, dzielących nas od rozbicia hitleryzmu. I zdaje się już dziś nie ulegać wątpliwości, że do rzędu najwybitniejszych niemieckich utworów literackich poświęconych hitleryzmowi, należy powieść Anny Seghers „Siódmy krzyż". Nie mamy jeszcze polskiego przekładu tej powieści, nie wielu ludzi w Polsce mogło się z nią zapoznać, czy to z niemieckiego oryginału, czy choćby z rosyjskiego przekładu, który ukazał się w tym roku. Nie mniej nie sposób pozostawić bez odpowiedzi tego, co napisał o „Siódmym krzyżu" Egon Naganowski w 32-gim numerze „Kuźnicy" w obszernym i rzeczowym artykule, zatytułowanym „Pióro Anny Seghers".

Naganowski przedstawił moim zdaniem niesłusznie samą istotę książki, co może się przyczynić do przedstawienia w niewłaściwym świetle całej postępowej literatury niemieckiej. Nie należy bowiem zapominać, że postępowa literatura niemiecka, tak, jak i cały postępowy, rewolucyjny obóz niemiecki, jest naszym sojusznikiem w walce o pokojowe i postępowe Niemcy i winniśmy dobrze i sprawiedliwie ocenić to wszystko, co jest cenne w tej literaturze i krytykować to, co jest złe, co otwiera furtkę powrotowi szowinizmu, lub fatalnym nastrojom niewiary w to, że walka o przebudowę życia i świadomości niemieckiej, jest walką realną, mającą szanse powodzenia. Wiemy wszyscy, jak strasznym wrogiem walki o zmianę Niemiec są tego rodzaju nastroje, bardzo rozpowszechnione wśród pewnych warstw społeczeństwa niemieckiego i podtrzymywane i nieustannie podsycane przez całą ideologię i praktykę „amerykanizmu".

Fabuła „Siódmego krzyża" jest bardzo prosta, i chciałoby się rzec — nieomal uboga. Cała akcja książki rozgrywa się w ciągu paru dni. Z obozu koncentracyjnego w Westhofen ucieka siedmiu więźniów antyfaszystowskich. Komendant obozu przygotowuje siedem krzyży, na których zawisną uciekinierzy, kiedy znowu wpadną w ręce oprawców. Przeświadczony o olbrzymiej i wszechpotężnej sile państwa hitlerowskiego, komendant zapowiada, że po upływie kilku dni ciała wszystkich uciekinierów będą wystawione na widok publiczny. Termin ten mija,, sześciu bojowników ginie, ale siódmy krzyż napróżno czeka na swą ofiarę. Siódmy więzień, Georg Heisler zdołał uciec i przedostać się do Holandii. Drzewa — krzyże zostały ścięte. W pierwszej scenie książki, niepozbawionej głębokiej, symbolicznej wymowy, marznący więźniowie obozu koncentracyjnego rozkoszują się przez chwilę ciepłem z kilku szczap drzewa, jakie udało im się wydostać i nie mogą oprzeć się wrażeniu, że palą właśnie narzędzia hitlerowskiej tortury. Ciepło, bijące przez chwilę z piecyka w ponurym baraku, nie jest tylko natury fizycznej...

Oto cała fabuła książki. W całej historii ucieczki Heislera nie ma żadnych momentów przygody i awantury. Jego walka o życie i wolność, która jest walką z dyktaturą hitlerowską, jest surowa i trudna. Autorka nie ułatwiła zadania ani sobie, ani swemu bohaterowi, pragnęła bowiem dać realistyczny i prawdziwy obraz społeczeństwa niemieckiego w roku 1937. I tu dochodzimy do sedna zagadnienia, niesłusznie — zdaniem moim — przedstawionego przez Naganowskiego. "...Prawda dostrzeżona i oddana przez autorkę jest gorzka —" pisze Naganowski, wskazując, że całe miejscowości biorą udział w pościgu, zarządzonym przez gestapo, że wśród wrogiej, lub w najlepszym razie — obojętnej masy, są tylko odosobnione jednostki, które z pobudek ściśle ludzkich litują się potrosze nad ściganymi, podając im pomocną rękę. Antyfaszyści niemieccy, którzy, jako zorganizowana siła nie istnieją — tak w dalszym ciągu przedstawia Naganowski poglądy Anny Seghers — są tragicznie osamotnieni.

Czy to jest prawda? Bezsprzecznie — tak. Ale czy to jest c a ł a prawda, ukazana przez Annę Seghers? Czy rzeczywiście Anna Seghers pisała w 1939 r. książkę o Niemczech roku 1937 po to tylko, aby — jak pisze Naganowski przedstawić bohaterstwo paru jednostek „bez wyolbrzymiania i patosu, bez stwarzania mitu" i w ten sposób nieomal metodą Starego Testamentu odszukać w hitlerowskiej Sodomie paru sprawiedliwych i uratować „swoją i naszą wiarę w zbłąkany i otumaniony naród niemiecki, wiarę w jego lepszą przyszłość"? Bezsprzecznie — nie!

Książka Anny Seghers jest wszystkim innym, tylko nie poszukiwaniem paru sprawiedliwych dla ratowania honoru Niemiec. Jest ona książką walki, wezwaniem do walki, jest to książka, która miała przekonać Niemców nie tylko o tym, że należy walczyć z hitleryzmem, ale — co najważniejsze, że m o ż n a walczyć z hitleryzmem i że można zwyciężyć w tej walce.

Tym przekonaniem tchnie cała książka. To przekonanie, tę wiarę wpaja autorka swojemu narodowi z głęboką mądrością i znajomością umysłowości niemieckiej.

Zanalizujmy kilka momentów tej książki i niechybnie dojdziemy do tego wniosku, narzucającego się z każdej jej stronicy. Sześciu więźniów ginie, ale przecież siódmy zwycięża w walce z tyranią hitlerowską i wydostaje się na wolność. Naganowski twierdzi, że Niemcy w powieści Seghers są ogarnięci obezwładniającym strachem przed wszechmocnym i wszechwiedzącym gestapo. Ale mały i prosty, zahukany obywatel Trzeciej Rzeszy, Paul Roeder, zwany przez wszystkich Pawełek (Paulchen), przyjaciel młodości Heislera, który udziela mu schronienia i pomocy, wraca z przesłuchania w gestapo z nieoczekiwanym, rewolucyjnym przekonaniem, że gestapo nie jest wszechwiedzące (str. 375)*), że gestapo wie tylko to, co mu się powie. Trzeba w całej pełni zrozumieć rewolucyjną treść tego stwierdzenia, z niego bowiem płynie wniosek, że jeśli się nie powie nic policji Himmlera, to policja ta będzie bezsilna. Inaczej mówiąc — naród jest w stanie przełamać terror dyktatury! Myśl tę słusznie Seghers uważa za kapitalną i podstawową. Wraca też do niej kilkakrotnie, że przypomnimy na przykład słowa żony organizatora ucieczki — komunisty Wallau'a (str. 131). Kiedy pani Wallau słyszy słowa, że gestapo wie wszystko, — odpowiada ona z miejssca: „To przesada. Gestapowcy wiedzą to, co im się powie".

Nie są to tylko słowa. Prawdę o tym, że gestapo nie jest wszechwiedzące i wie tylko to, co potrafi wymusić lub wyłudzić od ludzi, rozwija Seghers w całej swej książce. Roeder nic nie powiedział gestapowcom, młody uczeń ogrodniczy, początkowo biorący na swój sposób udział w pościgu — w pewnej chwili wprowadza w błąd gestapo i Heisler wywija się z matni. Bachmann zdradza w gestapo swego byłego towarzysza Wallau'a — i ten ginie z rąk morderców. Wnioski Anny Seghers są proste: nie ma fatum gestapo, nie ma nadludzkiej potęgi w postaci gestapo, wobec której człowiek jest bezsilny. Jest walka. Zwycięża ten, kto jest silniejszy moralnie, silniejszy politycznie.

Anna Seghers po to właśnie napisała swą książkę, żeby powiedzieć ludziom słowami pani Wallau, Paula Roedera, czynami Heislera i innych, że gestapo nie jest wszechmocne, że z gestapo można walczyć.

Tą właśnie myślą przepojony jest „Siódmy krzyż" a nie słuszną zresztą, ale ex post i w szczególnych warunkach powojennych zrodzoną obawą przed „mitem" oporu niemieckiego i obawą przed wykorzystywaniem go do celów nacjonalistycznych i antypoczdamskich... Anna Seghers i cały ruch antyfaszystowski w Niemczech w r. 1939 nie znali i nie mogli znać tych obaw. Jedynie ważną dla nich rzeczą było wzywanie i mobilizowanie Niemców do walki, a nie przygotowanie alibi na po klęsce. Jak słabym był ruch antyfaszystowski w Niemczech w owych latach — to jednak sama myśl o kierowaniu się lewicowych pisarzy niemieckich chęcią przygotowywania czegoś w rodzaju alibi i chowania się za plecami pojedyńczych, bohaterskich jednostek, jest nieprawdziwa i krzywdząca.

Jest przecież różnica między rzetelnie antyfaszystowskimi utworami pisanymi — mimo, że na emigracji — w ogniu walki, a dzisiejszymi fałszywymi legendami o 20 lipca i im podobnymi mającymi wykazać, że niemieccy monopoliści i baronowie byli w gruncie rzeczy zaciekłymi antyhitlerowcami! A przecież o to właśnie chodzi w mitach, z którymi słusznie Naganowski walczy.

Anna Seghers zdaje sobie dobrze sprawę ze słabości ruchu antyfaszystowskiego w Niemczech. Czytelnik nie znajdzie w całej tej książce niczego, coby tchnęło jakimś nadmiernym optymizmem, jakąś chęcią pomniejszania niezwykłych trudności, z jakimi ruch ten musiał się spotykać. Kiedy Naganowski podkreśla tę stronę zagadnienia, ma on bez wątpienia słuszność. Błąd jego zaczyna się dopiero w chwili, gdy zaczyna z tego słusznego stwierdzenia wyciągać wnioski, sprzeczne z wnioskami Anny Seghers. Naganowski mówi o gorzkich wnioskach powieści. A Anna Seghers na każdym kroku mówi o tym, że najlżejszy nawet przejaw walki przeciwko hitleryzmowi działa ożywczo na ludzi, wciągniętych do tej walki, budzi w ich duszach najlepsze strony, uszlachetnia ich i podnosi na duchu. Charakterystyczna jest w tym względzie rozmowa między małżonkami Kresz. Kresz — inżynier, ongiś uczestnik ruchu rewolucyjnego w Niemczech, który odsunął się od ruchu po zwycięstwie hitleryzmu, jest jednym z tych, którzy udzielają pomocy Heislerowi. Żona Kresza pyta go, czy Heisler powiedział jeszcze coś w chwili odjazdu. — Nie, powiewiedział tylko „dziękuję".—Dziwna rzecz— mówi żona — wydaje mi się, że to ja powinnam mu podziękować, niezależnie od tego, co wyniknie dla nas z całej tej historii — za to, że przyszedł do nas". — „Mnie się też tak wydaje" — odpowiedział szybko Kresz (str. 389). Ludzie, którzy stykają się z Heislerem stają się inni, odważniejsi i lepsi. Czuć wyraźnie, że zetknięcie się z faktem, świadczącym o możliwości walki z hitleryzmem, przeobraża ich.

Warto przyjrzeć się bliżej temu właśnie procesowi przeobrażenia ludzi w „Siódmym krzyżu". To jest istota książki. W tym,j ak autorka niemiecka przedstawia te przeobrażenia, są wszystkie mocne i jednocześnie wszystkie słabe strony książki. Jakaż siła ideowa powoduje te przeobrażenia? Anna Seghers wyraźnie odpowiada na to pytanie: siła ideowa komunizmu. Organizatorem ucieczki, jak już powiedzieliśmy wyżej — jest komunista Wallau. Wallau w śledztwie — to przykład, jak rewolucjonista winien się zachować wobec wroga klasowego. Ucieczka więźniów budzi wśród ludzi nie litość i współczucie, lecz pragnienie walki i świadomość, że walkę tę można toczyć, a co najważniejsze, przyczynić się do ożywienia dawnych więzów organizacyjnych między ludźmi, zaniedbanych, zapomnianych lub uśpionych w czasach dyktatury. Oto dwóch robotników w jadłodajni poznaje Heislera, którego ścigają listy gończe. Krótka rozmowa na temat nagrody za wydanie więźnia. Lakoniczne oświadczenie, że nie wydadzą go: „...dawniej byli to dobrzy przyjaciele, później przyszły lata, w ciągu których ze strachu nie zamieniali ze sobą żadnych rozsądnych słów. Teraz okazało się, że nie zmienili się. Wychodzą z bufetu, jako przyjaciele". (str. 206). Heisler dostaje wreszcie pomoc — dokumenty i pieniądze od nielegalnej organizacji partyjnej, od nielegalnego kierownictwa okręgu.

Seghers zbyt dobrze znała rzeczywisty stan rzeczy w Niemczech 1937 r., żeby łudzić siebie i czytelnika i przeceniać ucieczkę z obozu i wszystko to, co ucieczka wzbudziła w umysłach ludzkich. Nie mówi ona nic o trwałości tych wzbudzonych myśli i nawiązanych stosunków między ludźmi. Nie z książki, lecz z życia wiemy, że te przeobrażenia w ogromnej większości wypadków były niestety tylko chwilowe, że wielu z tych, których uskrzydlił obraz walki — później znów wpadło w bierność, lub co gorzej — wiernie służyło Hitlerowi w jego rozbójniczej wojnie. Ale myśli i uczucia, które budziła Seghers są po dziś dzień jedynymi myślami i uczuciami, na których można oprzeć politykę przebudowy, przekształcenia Niemiec w kraj demokratyczny. W budzeniu tych myśli i uczuć, do których należy przyszłość, „Siódmy krzyż" odgrywa dziś i odgrywać będzie w przyszłości wielką rolę, tak wielką jak niewiele innych książek niemieckich, które w przeciwieństwie do „Siódmego krzyża" zajmują się częstokroć nie istotnymi lecz pobocznymi stronami hitleryzmu. O tych wartościach trzeba przede wszystkim powiedzieć czytelnikowi polskiemu, bo na tym polega duża, historyczna i aktualna wartość tej książki.

Jerzy Kowalewski

*) Numeracja stron wg niemieckiego wydania.

„Pierwszy" etap

(Dokończenie ze str. 2)

współczesnej" uległo zasadniczej dewaluacji, a raczej zasadniczej przemianie treści.

Przez całe 20-lecie międzywojenne walki w świecie muzycznym odbywały się u nas w imię „muzyki współczesnej". Powstawały specjalne towarzystwa dla jej kultywowania, czasopisma dla jej obrony, nadal jeszcze trwa S.I.M.C. (Societe Internationale de la Musique Contemporaine) i organizuje festiwale tej muzyki. „Współczesną" była przede wszystkim ta muzyka, która szukała nowych środków, która eksperymentowała, która nastawiała się na wybranych słuchaczy elity, lub na fikcyjnych słuchaczy „jutra".

Dziś sens tej „współczesnej muzyki" przestał być współczesny. Modernizm z wszystkimi jego etapami i odchyleniami, z ekspresjonizmem, neo-klasycyzmem, dodekafonią, systemem ćwierćtonowym itp., z nowatorstwem, które było celem samym w sobie, stał się — i to odczuliśmy wszyscy bardzo jasno — zjawiskiem przeszłości, odwróconą kartą historii, kartą naszymi rękoma właśnie odwróconą.

Przed kompozytorami stanęła wyraźnie n o w a współczesność w muzyce, z innymi, choć bardzo wyraźnymi postulatami, które w najszerszym sformułowaniu dadzą się ująć w jeden: postulat włączenia się w dynamikę naszej epoki, w ten nurt dziejowych sił, które świat prowadzą naprzód. Zrozumienie tych sił, ujrzenie ich kierunkowości — to niezbędne założenie dla takiego włączenia się. W tym mieści się i postulat rzetelnego pokrycia emocjonalnego w dziele sztuki i postulat humanizacji sztuki i jedności formy i treści i dążenie do prostoty i rezygnacja z eksperymentów formalnych i świeżość nowego widzenia świata i zrozumienie wyższego sensu „użytkowości" dzieł sztuki.

Nie było w Łagowie sztywnego domagania się takich czy innych środków ekspresji artystycznej, było tylko wielkie wołanie o uczciwą sztukę, wplecioną w nadchodzący dzień epoki socjalizmu.

W odczuciu osób dyskutujących problem ten był może najważniejszym. Wszyscy zrozumieliśmy, że formalizm w muzyce — to sprawa większa, niż tylko stosowanych środków muzycznych. Że jest to sprawa ś w i a t o p o g l ą d u, sprawa c a ł e g o człowieka. Że pozostałości formalizmu w twórczości naszych kompozytorów — to sprawa uwiązania o stare kategorie myślenia, odczuwania, rozumienia świata, wartościowania życia i jego spraw, i — w ostatnim ogniwie — wyrażania tych wszystkich odczuć. Że zmiana stylu muzycznego — to zmiana całego tego łańcucha, od jego podstaw zaczynając. Że walka z formalizmem — to jest sprawa p r z e m i a n y c z ł o w i e k a.

Ciekawe, jak często w przemowach łagowskich padały słowa „człowiek zagubiony w swoim czasie", „odczucie naszej epoki", „treść dnia dzisiejszego", „stosunek do swego czasu", itp. Nie o kantowską kategorię filozoficzną szło tu wszystkim, ale o to, c o ten czas wypełnia, i o jego sens, o ż y c i e n a s z e g o c z a s u i jego odblask w umysłach i uczuciach mówiących, o stosunek ich do tego życia.

Łagów był fragmentem walki kompozytorów polskich o n o w y ś w i a t o p o g l ą d. Walki prowadzonej nie pomiędzy sobą, ale w każdym z kompozytorów w sobie, tam tylko wspólnie ujawnionej w słowie, w wypowiedzi, wyznanej publicznie w gronie głęboko rozumiejących i to samo przeżywających kolegów. Szukali oni wspólnie twórczej drogi wyjścia z impasu, swojej drogi, w nowym sensie w s p ó ł c z e s n y c h kompozytorów polskich, w ramach nowego życia. Rozmowy łagowskie były w tym procesie poszukiwań ogniwem ważnym, choć zapewne nie ostatnim.

Czernyszewski formułując tezę, że „piękno — to życie", uznaje życie za ostateczne kryterium piękna. Lenin uważa, że dzieła sztuki wyrażają znacznie więcej, niż tylko piękno, one odzwierciadlają samą r z e c z y w i s t o ś ć, w której powstają; są wyrazem nie tylko kontemplacji tej rzeczywistości, ale i jej p o z n a n i a, aktywnego jej przetwarzania.

Dyskusje łagowskie wiodły zebranych w tym właśnie kierunku. W ich przemówieniach wyraźnie odczuwało się zrozumienie tego funkcyjnego uzależnienia sztuki od treści życia. Czuło się dojrzewanie myśli, pragnącej znaleść drogę do wyrażenia treści naszej epoki w muzyce. Fakt, że kompozytorzy tak właśnie stawiali problematykę swej dzisiejszej twórczości, ostatecznie dowodził, że „Łagów" był końcem pewnego etapu, że był tym ostatecznym ogniwem w procesie scalenia przemian, które od lat kilku zachodziły w naszym środowisku kompozytorskim. Coś, co kotłowało w każdym z nas z osobna, co niezawsze docierało do jasności pojęciowej, co z trudem przebijało zakrzepłą niekiedy skorupę nawyków myślowych i uczuciowych, co niekiedy przybierało formy błędnych uogólnień i sformułowań — teraz wyszło na światło zbiorowej dyskusji, krytyki, przybrało nazwę, miejsce w historii, obnażyło swe korzenie społeczne i historyczne. Stary kompleks został rozbity. Na krótką chwilę z pozycji jutrzejszych spojrzeliśmy na nasze „wczoraj" i zrozumieliśmy, że „dziś" musi być inne.

Dyskusje łagowskie zamknęły okres eklektyzmu myślowego i twórczych poszukiwań samego k i e r u n k u. Kierunek stał się jasny — środki do jego realizacji w twórczości muzycznej — oto walka przed którą teraz stoimy. Rozmowy łagowskie wykazały, że próby przemknięcia się o b o k jasnych rozwiązań są dziś już niemożliwe. Że kompromis z siłami wstecznego nurtu twórczego nie może być wyjściem. Zjazd oczyścił przedpole do dalszej walki i do konstruktywnej pracy.

Dyskusje łagowskie nie skończyły się formalnie uchwaloną deklaracją, a mimo to wszyscy rozjeżdżaliśmy się z poczuciem tego, że Łagów był jasną i wyraźną deklaracją całego Związku Kompozytorów Polskich w obu jego sekcjach, tak kompozytorskiej, jak i muzykologicznej — przeciw formalizmowi, przeciw symptomom muzyki kryzysu, upadku, rozkładu.

Zofia Lissa

MIESIĘCZNIK „LITERATURA RADZIECKA"

Staraniem wydawnictwa „Sowietskij Pisatiel" w Moskwie ukazały się w języku polskim dwa pierwsze zeszyty miesięcznika „Literatura Radziecka", czasopisma, którego mutacje w innych językach, np. francuskim czy angielskim — stanowią już od wielu miesięcy cenne źródło informacji o osiągnięciach pisarzy i artystów Związku Radzieckiego. Jest rzeczą jasną, że pojawienie się analogicznego wydawnictwa w języku polskim ma ogromne znaczenie dla popularyzacji kultury Związku Radzieckiego w szerokich masach polskiego społeczeństwa i należy wyrazić radość, że inicjatywa wydania tej publikacji została podjęta.

Pojedynczy zeszyt miesięcznika „Literatura Radziecka" ma pokaźną objętość około 200 stron druku, co pozwala na zamieszczanie w nim, obok artykułów informacyjnych i krytycznych o literaturze, również i większych całości literackich, charakteryzujących kierunek rozwoju współczesnej twórczości narodów radzieckich.

I tak w zeszycie pierwszym, który ukazał się przed przeszło miesiącem, większą część numeru zajmuje duże opowiadanie pisarza estońskiego Hansa Leberekhta pt. „Światła w Koordi", w zeszycie drugim, który pojawił się w dniach ostatnich, znajdujemy znaną, współczesną sztukę radziecką A. Sofronowa „Moskiewski charakter", oraz pięć słynnych artykułów Gorkiego o Ameryce z 1906 r. (jeden z nich, „Miasto Żółtego Diabła", drukowała „Kuźnica" przed rokiem).

Niezależnie od utworów literackich oba numery przynoszą obfity materiał informacyjny. W numerze pierwszym znajdujemy na wstępie artykuł pt. „Święto kultury radzieckiej", zawierający krótki przegląd książek, sztuk, filmów, obrazów i rzeźb, odznaczonych nagrodami stalinowskimi za rok 1948, następnie artykuł E. Surkowa o amerykańskich pamfletach Gorkiego, oraz komplet przemówień delegatów radzieckich na kwietniowym kongresie intelektualistów Stanów Zjednoczonych w obronie pokoju, poprzedzony krótkim sprawozdaniem z tego kongresu. Mamy tu treść przemówień A. Fadiejewa, P. Pawlenki, A. Oparina, D. Szostakowicza, S. Gerasimowa, M. Ciaurelliego.

Numer drugi przynosi również silne zaakcentowanie udziału pisarzy radzieckich w światowej walce o pokój, podając na wstępie Manifest Światowego Kongresu Pokoju, a następnie przemówienia delegatów radzieckich — Fadiejewa, Ehrenburga, Simonowa i innych — w Paryżu i Pradze.

Niezależnie od tego w numerze drugim znajdujemy omówienie ważniejszych nowości z dziedziny radzieckiej prozy powieściowej pióra W. Jermiłowa oraz recenzję najnowszego sukcesu kinematografii radzieckiej — „Bitwy Stalingradzkiej" — pióra A. Borysowa. Jeśli chodzi o stosunek do klasyków literatury — własnej i obcej — to wyrażają go artykuły D. Błagoja o Radiszczewie oraz A. Malurowej o „Drodze i poszukiwaniach twórczych Goethego" w związku z 200 rocznicą urodzin poety. Ostatni artykuł uzupełnia wybór myśli i uwag, jakie na temat Goethego wypowiedzieli Engels, Puszkin, Lermontow, Bieliński, Hercen, Czernyszewski i Gorki.

Szczególnie ciekawą dla czytelnika polskiego pozycją w pierwszym numerze „Literatury Radzieckiej" jest jednak jeden z dwu artykułów poświęconych literaturze krajów demokracji ludowej — a mianowicie artykuł naczelnego redaktora miesięcznika — J. Anisimowa, poświęcony literaturze polskiej. J. Anisimow odwiedził Polskę w styczniu roku bieżącego, jako jeden z uczestników delegacji pisarzy radzieckich na Zjazd Związku Literatów Polskich w Szczecinie i uwagi jego na temat Polski, jej literatury i kultury są garścią wrażeń i wiadomości, jakie zgromadził w czasie tej podróży.

Anisimow pisze o Polsce w tonie niezwykle ciepłym i serdecznym, podkreśla powszechny entuzjazm i tempo odbudowy kraju, oraz rosnący udział, jaki w przemianach tych bierze literatura polska. Referuje przebieg dyskusji naszych pisarzy na Zjeździe Szczecińskim i przytacza sądy na temat poszczególnych osiągnięć naszych pisarzy w ujęciu referatu zjazdowego Stefana Żółkiewskiego. Pisząc o polskiej sztuce plastycznej Anisimow podnosi wspaniałe realistyczne tradycje sztuki polskiej od rzeźb Wita Stwosza do obrazów Matejki, zachwyca się znakomitymi realistycznymi rzeźbami Dunikowskiego, natomiast krytykuje formalistyczny i antyrealistyczny charakter jego rzeźb z dawniejszego, ekspresjonistycznego okresu. Informacyjny artykuł o życiu literackim Czechosłowacji napisał w „Literaturze Radzieckiej" S. Szmeral.

Reasumując stwierdzić należy, że wydane dwa zeszyty miesięcznika „Literatura Radziecka" stanowią cenny wkład w rozwijające się coraz intensywniej dzieło radziecko-polskiej wymiany kulturalnej. Należy żywić nadzieję, że numery wydawnictwa będą ukazywały się regularnie, zasobne w równie ciekawą i bogatą treść. **m.**

PRZEGLĄD PRASY

Przeciw wojnie

Dobrze się stało, że „Odrodzenie" w ostatnim (37) numerze przypomniało rocznicę Kongresu Wrocławskiego. Wśród wielu jubileuszów w tym roku Kongres święci jubileusz najmłodszy, ale kto wie, czy nie najważniejszy. Jeśli przypominani przez nas w tym jednym tylko 1949 roku wielcy pisarze mają pozostać wraz ze swoimi dziełami w pamięci ludzkiej, to musimy rzec sobie, że ich dzieła, które składają się na naszą kulturę, świadczą za postępem i pokojem, przeciw uciskowi i wojnom. Musimy ocalić nie tylko przeszłość świata, ale i jego przyszłość, tę przyszłość, jakiej chcemy, a która różni się od wszystkich innych przyszłości tym, że człowiek wyjdzie wreszcie z królestwa konieczności i przymusu.

Intelektualista nie może nie walczyć o tę przyszłość. Jeśli jej zaprzecza lub — co gorsza — jeśli jej nie pragnie, przestaje być intelektualistą, staje się propagatorem idei konserwatywnej, opóźniającej lub niweczącej rozwój człowieka ku wolności. Kongres Wrocławski był pierwszym zborem ludzi nauki i sztuki, świadomych ważności swojego wyboru.

Jest rzeczą oczywistą, że obrona sprawy pokoju łączy się dziś na całej linii z obroną ideologii, która nie narzuca żadnej innej formy wojny poza wojną obronną. Socjaliści i komuniści nie mają potrzeby odwoływać się do bomby atomowej, ani do innych środków wybuchowych. Wiedzą dobrze, że każde społeczeństwo kapitalistyczne zawiera wewnątrz siebie dość sprzeczności, które je rozrywają.

Czytam w „Odrodzeniu" przemówienie Leonida Leonowa wygłoszone na kongresie pokoju w Moskwie. „Właśnie w tej chwili — mówi Leonow — wrogowie kultury i cywilizacji chcieliby ujrzeć świat podzielony na Anglosasów i na Słowian, na czarnych i białych, na „prawowiernych" i „heretyków", na „czystych" i „nieczystych", na wierzycieli i dłużników. W rzeczywistości sprawa ma się nieco inaczej. Jedyna linia frontu jaka istnieje, dzieli szefów i ich służalców od tych, którzy nie chcą się stać niewolnikami. Wynika więc stąd, że absolutna jedność jest konieczna i u nas, i że źle się dzieje, jeśli w światowej rodzinie uczonych, pisarzy, artystów i budowniczych, znajdują się jeszcze ludzie — którzy powołując się na rzekomą bezorężność kultury — przypuszczają, że mogą pozostać na stronie. Bezpośrednim naszym obowiązkiem jest cierpliwie wyjaśniać im, że dzisiaj postawiono na kartę los całego duchowego i materialnego dorobku człowieczeństwa".

Sprawie politycznych stosunków polsko-sowieckich w ich zaraniu poświęcony został artykuł Romana Bratnego. Bratny jest — według mnie — bardzo zdolnym publicystą i dobrze się dzieje, że się na tę dziedzinę pisarstwa ostatnio przerzucił. Ogromna część naszej publicystyki cierpi na nieuleczalną chorobę banalności. Okrągłe, gotowe zwroty, okrągłe, gotowe, sto razy już powiedziane przez kogo innego myśli, całkowity brak własnego zdania — oto cechy wielu artykułów i wypowiedzi. Ich autorzy powinni pamiętać, że czytelnik dobrze wie i czuje, kiedy myśl publicysty jest własna, a kiedy tylko zdawkowo powtórzona. Bratny, który temperament publicystyczny wyładowywał dotąd w poezji, dobrze uczynił, że wybrał najbliższy sobie gatunek literatury, bo oczywiście dobry reportaż, czy dobra publicystyka jest nie gorsza od rozwlekłej książki wierszem czy prozą, a napewno bardziej od niej pożyteczna.

Na marginesie lektury ostatnich numerów „Odrodzenia" chciałbym zauważyć, że pismo to staje się coraz mniej literackie. Oczywiście nic by nie szkodziło, żeby jedno pismo było czysto aktualne, żeby zajmowało nas sprawami dnia dzisiejszego z pomocą tekstów przemówień czy też materiału publicystycznego. Ale lękam się, że w ten sposób zgubimy gdzieś po drodze literaturę. Wychodzą w Polsce w tej chwili doskonałe wznowienia i niekiedy ciekawe pozycje oryginalne. „Odrodzenie" informuje nas o tym raczej skąpo. Nowy czytelnik radby się dowiedzieć jak najwięcej o przeszłości kulturalnej własnego kraju i krajów obcych. „Odrodzenie" daje te materiały tylko w dni jubileuszów. Wreszcie jest podobno w Związku Literatów Polskich około 300 zrzeszonych członków, nie licząc zdaje się kandydatów. Rozumiem, że nie wszyscy piszą do „Odrodzenia", ale niektórych należałoby jednak prosić o współpracę. Nie chcę wymieniać nazwisk, które już od dwuch lat blisko nie widnieją na szpaltach „Odrodzenia". A przecież słusznie chlubi się zawsze redakcja „Odrodzenia", że było to pierwsze literackie pismo w oswobodzonym kraju... ph

Noty

Klątwy kardynała Spellmana

Kardynał Spellman jest osobistością bardzo popularną nie tylko w Ameryce, lecz także w Europie. Popularną nie jako człowiek o wielkich zaletach serca i umysłu, lecz jako podżegacz wojenny, wróg postępu i sprzymierzeniec faszyzmu. W walce

ze swoimi przeciwnikami kardynał Spellman nie przebiera w środkach, wśród których klątwa nie ostatnie miejsce zajmuje.

Idzie właśnie o klątwy. Zaczęło się, rzecz jasna, od komunistów, po drodze oberwało się zwolennikom Wallace'a a skończyło się... na pani Eleonorze Roosevelt, wdowie po wielkim prezydencie amerykańskim. Pani Eleonora Roosevelt dała się wciągnąć w antyradziecką kampanię, uprawianą pod „liberalnym" płaszczykiem. Ze wszystkich sił wystrzegała się stanąć w obronie prześladowanych i szczutych demokratów amerykańskich. Ale to wszystko nie pomogło, gdyż miała nieszczęście narazić się kardynałowi Spellmanowi. Spór powstał w związku z projektem senatora Bardena, który postawił wniosek o wyasygnowanie przez Kongres amerykański 300 milionów dolarów na cele szkolnictwa państwowego. Wnioskodawca domagał się wyraźnie — zgodnie z konstytucją amerykańską — wyeliminowania od subsydiów zarówno szkół prywatnych jak i kościelnych.

Za projektem Bardena wypowiedziała się również pani Roosevelt, czym ściągnęła na siebie gniew kardynała Spellmana, który miał nadzieję uszczknąć smaczny kąsek dla szkół katolickich. W prasie amerykańskiej pojawił się list otwarty Spellmana, pomawiającego panią Roosevelt o „ignorancję", „uprzedzenia" i „fałszywe informacje". Pod koniec listu Spellman wyklął swoją antagonistkę na wsze czasy. „Cokolwiek by pani w przyszłości powiedziała — gromił kardynał panią Roosevelt — Pani antykatolicka przeszłość jest powszechnie znanym świadectwem, które Pani sama wpisała do historii i którego Pani już nigdy nie zdoła odwołać, świadectwem dyskryminacji niegodnej amerykańskiej matki". Oto co musiała wysłuchać bogobojna protestantka Eleonora Roosevelt od kardynała Spellmana. rk

Bizońskie dysproporcje

Uroczystości, jakie odbyły się w strefie radzieckiej z okazji 200-lecia urodzin Goethego, przemówienia, publikacje i wznowienia dzieł wielkiego poety świadczą o pietyźmie dla postępowych i humanistycznych tradycji literatury niemieckiej i ogromnym zainteresowaniu dla spraw kultury i sztuki. Nieco inaczej ma się rzecz w Niemczech zachodnich. W kilku miastach bawarskich zrezygnowano w dniu 28 sierpnia z imprez goethowskich z powodu „braku środków finansowych potrzebnych dla zorganizowania uroczystości ku czci Goethego". Głównym osiągnięciem roku goethowskiego w strefach zachodnich miała być rekonstrukcja domu, w którym urodził się Goethe (Frankfurt nad Menem). Budynek jednak stoi nadal niewykończony. Zabrakło pieniędzy. Dom Goethego we Frankfurcie został zburzony przez amerykańskich i angielskich lotników, którzy dokładali wszelkich starań, aby nie uszkodzić wielkich

kompleksów „IG-Farbenindustrie". Oszczędność amerykańskich władz wojskowych jest zupełnie zrozumiała, jeśli zważymy ogrom rozchodów, jakie pochłania budowa luksusowych domów gry, kasyn i lokali rozrywkowych. Kłopoty finansowe spowodowały już przedtem bankructwo teatrów w strefach zachodnich, a wydawnictwa — jak donosi prasa bizońska — gonią ostatkami. We Frankfurcie znalazł się jakiś naiwny księgarz, który udekorował witrynę swego sklepu dziełami Goethego i o Goethem. Przez osiem dni nie sprzedał ani jednej książki, ale zato rozchwytywano mu kilkaset egzemplarzy czasopism z sensacyjnym artykułem p.t. „Hitler widziany przez swego fryzjera". W takiej konkurencji Goethe nie miał najmniejszych szans. rk

Wielki szał

„Wielki szał" (Der grosse Rausch) — to tytuł książki Ericha Kerna o drugiej wojnie światowej. Dzieło to jest symptomem nowych czasów, które przejdą do historii pod nazwą epoki bizońskiej. Minęły już lata, w których hitlerowcy starali się tchórzliwie wypierać się swojej działalności faszystowskiej. Dziś nie ma już czego obawiać się, prasa i wydawnictwa neofaszystowskie wskrzeszają jawnie narodowo-socjalistyczną legendę, a przynależność do formacji hitlerowskich stała się kwestią honoru i politycznego bon tonu. Erich Kern nie był wprawdzie nigdy wielkim pisarzem, ale za to nosił mundur SS i odznakę partyjną, co w Niemczech zachodnich jest wystarczającym tytułem do sławy i powodzenia.

Historiozofia Kerna da się ująć w kilku słowach: w wojnie ze Związkiem Radzieckim Niemcy popełniły szereg błędów, których trzeba będzie wystrzegać się w przyszłej wojnie światowej. Oto sens całej książki. Za największy błąd uważa autor złe obchodzenie się z Rosjanami i Ukraińcami. Owa nieznajomość „duszy rosyjskiej" — jak twierdzi — była powodem fatalnej klęski Niemiec. Były zbrodniarz wojenny

ofiarowuje swoje usługi znawcy psychiki rosyjskiej nowym przeciwnikom ZSRR, którzy — korzystając z jego, Kerna, wskazówek—powinni uwieńczyć spaczone przez Hitlera dzieło. „Zrobiliśmy wszystko połowicznie" pisze Kern, który chciałby sprawę załatwić „całkowicie", po atlantycku. Książka Kerna nie wymaga wielu komentarzy. Ciekawe jest tylko, że wyszła drukiem w Szwajcarii, która forsuje ostatnio, prócz wywozu zegarków i serów, również eksport faszystowskich idei. rk

Z kraju prawdziwej „demokracji"

W amerykańskim czasopiśmie „Newsweek" ukazał się artykuł o działalności Ku Klux Klanu, podający szereg makabrycznych faktów, które rzucają wcale nie dwuznaczne światło na praktykę amerykańskiej demokracji.

„Członkowie Ku Klux Klanu — pisze „Newsweek — podpalają krzyże, maltretują bezbronnych mężczyzn i kobiety i terroryzują swoich przeciwników. Od stycznia 1948 roku należy zapisać na ich rachunek ponad sto aktów gwałtu i terroru. W czerwcu b.r. ośrodkiem ich zbrodniczej działalności był przede wszystkim stan Alabama i jego centrum Birmingham. 11 czerwca w nocy wyciągnięto z łóżka 42-letnią kobietę Hugh McDanal i pobitą ją do krwi. Członkowie Ku Klux Klanu oskarżyli ją o wykonywanie lubieżnych tańców w korytarzu jej domu(!).

Tej samej nocy został napadnięty i pobity Steve Mashlar, właściciel kawiarni, oskarżony o sprzedaż jadła Murzynom.

14 czerwca weteran wojenny Bill Guyton został uprowadzony ze swojego domu do pobliskiego lasu, gdzie rozebrano go do naga i wychłostano. Guyton zezwolił swojej żonie pójść do pracy, przez co zostało narażone na szwank wychowanie jego dzieci.

W mieście Dora wychłostano biczami panią Irenę Burton, która w przeddzień przeszła operację, oraz jej dwie córki za to, że wieczorami spacerowały z mężczyznami.

Clark Stallworth, reporter birminghamskiej gazety, i wydawca tygodnika „The Jasper Union News" zostali pobici, ponieważ mieszali się w wewnętrzne sprawy Ku Klux Klanu.

W ciągu dziesięciu dni spalono w Alabama 89 krzyżów".

Są tedy ludzie w Ameryce, którzy stoją na straży dobrych obyczajów i moralności publicznej. Z tymi krzyżami to rzecz inna. To już jest przyczynek do akcji rządu amerykańskiego, który tak gorliwie broni swobód religijnych w państwach demokracji ludowej. rk

Zasługi wydawców

W bieżącym tygodniu mogę wreszcie odnotować ukazanie się jednego z arcydzieł literatury europejskiej minionego okresu, książki wielkiego pisarza niemieckiego Tomasza Manna. „Buddenbrookowie", pierwsza książka Tomasza Manna, która ukazała się po polsku po wieloletniej okupacji Polski przez faszystów mówiących po niemiecku, świadczy wyraźnie o tym — że — podobnie jak działo się to z jubileuszem Goethego — potrafimy dobrze odróżniać faszystowską od humanistycznej linii rozwoju Niemiec. Tomasz Mann jest w dodatku jednym z tych niewielu wielkich i starych pisarzy mieszczańskich, który — przeciwnie niż Hamsun, czy Gide — nie ugiął się przed własną klasą, który widzi dalej, mądrzej i bystrzej niż ona. Minione lata były nie tylko widownią wielkiej wojny, ale również i kruszenia się wielkich autorytetów mieszczaństwa. Tomasz Mann, pisarz o wielkim autorytecie moralnym, nie zaparł się postępu. Dlatego wydanie „Buddenbrooków" przez jedną z czołowych spółdzielni polskich („Książka i Wiedza") należy uznać nie tylko za cenne wydarzenie literackie, ale i za świadectwo naszej polityki kulturalnej, przychylnej wszystkiemu, co wspomaga człowieka w jego walce o wyzwolenie.

Podobnie można i należy ocenić wznowienie pięknej i przenikliwej książki Stendhala: „Życie Henryka Brulard" („Książka i Wiedza"). Nie o czym innym świadczą kontynuowane nadal przez to samo wydawnictwo dzieła zbiorowe klasyków polskich. W tym tygodniu ukazał się tom Orzeszkowej, a także tom I „Pism wybranych" Adolfa Dygasińskiego („Beldonek").

Wracając do „Buddenbrooków" chciałbym tu przypomnieć, że z kolei należałoby wydać tom opowiadań Manna, które są jakby studiami, szkicami do jego wielkich powieści. Nie słychać też nic o polskim wydaniu „Faustusa", o którym bardzo interesującą rozprawę Lukacsa czytałem niedawno w organie Francuskiej KP „La Critiue nouvelle". ph.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

OPOWIEŚĆ O NIEZWYKŁYM LOTNIKU

„Opowieść o niezwykłym lotniku"*) napisana przez jednego z czołowych autorów radzieckich — Borysa Polewoja, jest zarazem opowieścią o człowieku rzeczywistym, po dziś dzień żyjącym, sławnym w swej ojczyźnie i poza jej granicami. Tytuł książki można by zresztą poszerzyć i nadać mu sens zbiorowy: nie tylko bowiem naczelny bohater książki — lotnik Aleksy Meresjew, lecz i niemal wszystkie ukazane w narracji postacie — to „prawdziwi ludzie" radzieccy, zindywidualizowani i odrębni w swych rysach osobistych, lecz podobni i bliscy sobie w jednoczącym ich poczuciu patriotycznej ofiarności i miłości ojczyzny.

W jednym ze swych artykułów, odsłaniających drogi twórczości pisarskiej, zwierzał się niedawno autor „Opowieści":

„Wszystkie tematy, charaktery, wszystkie materiały swoich dwu książek: „Opowieść o prawdziwym człowieku" i „My — ludzie radzieccy" — wziąłem całkowicie z życia. Większość występujących w nich osób — to nasi realni współcześni rodacy, wprowadzeni do tych książek pod prawdziwymi nazwiskami"... Ta okoliczność wyróżnia książkę Polewoja spośród wielu innych o pokrewnej tematyce wojennej, tak samo zresztą, jak wyróżniają „Opowieść" wybitne zalety artystyczne, serdeczne ciepło jej wewnętrznego tonu, uczucie najgłębszej, braterskiej sympatii dla ludzi, o których opowiada.

„Opowieść" Polewoja nie ma nic wspólnego z tuzinkowością i szablonem tego, co na szerokim świecie znane jest na ogół pod nazwą „beletrystyki wojennej". Bez patosu i egzaltacji — w formach prostych i przejrzystych zamknął Polewoj wzniosły i porywający rapsod bohaterski o potędze woli człowieka, o harcie duszy ludzkiej, o stalowej niezłomności charakteru, która pokonywa opory i przeszkody, zdawałoby się, nie do zwyciężenia.

Aleksy Meresjew, lotnik w służbie pościgowej (nazwisko prawdziwe uległo w „Opowieści" drobnej tylko zmianie) został zestrzelony przez Niemców nad lesistym terenem frontu wschodniego, na dalekich tyłach nieprzyjaciela. Lotnik ocalił życie, nie wpadł w ręce wroga, lecz zmiażdżone stopy uniemożliwiają mu, tak można by sądzić, przedarcie się do swoich. A jednak Meresjew, przemagając głód, chłód, cierpienie fizyczne i obezwładniające poczucie samotności, uparcie i nieustępliwie podąża na wschód. Z początku na tych połamanych, poranionych nogach, później — na czworakach, wreszcie — tocząc się po śniegu leśnych drożyn z boku na bok, ale wciąż na wschód, na wschód.

Po kilkunastu dniach tej nadludzkiej wędrówki Meresjew dociera do jakiejś zapadłej wioszczyny w lasach, gdzie znajduje pierwszą pomoc i życzliwość mieszkańców. Gdy udało się nawiązać niełatwy kontakt z dowództwem radzieckim, specjalny samolot zabiera ciężko chorego, wynędzniałego lotnika do szpitala w Moskwie, gdzie będzie mógł leczyć się i wypoczywać. Po amputacji obu nóg, co okazało się koniecznością, staje się dla wszystkich rzeczą niepodlegającą wątpliwości, że Meresjew jest już tylko inwalidą, który marzyć nawet nie może o powrocie do szeregów lotniczych. Lecz sam Meresjew jest innego zdania: gdy minęły pierwsze chwile depresji po dokonanej amputacji, 23-letni lotnik postanawia nie rezygnować z niczego, stać się znowu czynnym lotnikiem, walczyć tak jak dawniej na froncie.

Otrzymawszy doskonałe protezy, Meresjew przez całe miesiące pobytu w szpitalu uprawia niezwykle trudne i męczące ćwiczenia gimnastyczne, dążąc do tego, by protezy stały się całkowicie posłuszne jego woli, by mógł używać ich tak, jak gdyby były przyrodzoną częścią organizmu.

Zachęcającym przykładem jest dlań historia pewnego lotnika rosyjskiego z czasów pierwszej wojny światowej, który latał nie mając jednej nogi.

Ambitna wola, heroiczna wytrwałość Meresjewa silniejsze są, niż dopust ciężkiego kalectwa. Wbrew sceptykom i niechętnym, Meresjew — odrzuciwszy propozycje „kompromisowe", t.j. instruktorstwo i służbę na tyłach — powraca do szeregów, zdaje wszelkie wymagane od lotnika bojowego egzaminy i osiąga wreszcie cel zamierzony — dosiada pościgowca i mężnie, ofiarnie, fachowo toczy zwycięskie walki powietrzne z Niemcami. Toczy je, jak wiemy, aż do końca wojny, będąc jedynym na świecie lotnikiem, któremu brak nóg nie przeszkodził w karierze frontowej. Oto niezwykły triumf „prawdziwego człowieka radzieckiego", triumf nie do uwierzenia, gdyby ten fakt nie był prawdą znaną i rzeczywistą.

Jak powiedziałem na wstępie, nie o jednym tylko „prawdziwym człowieku" wieści „Opowieść" Polewoja. Takich ludzi bynajmniej nie dobranych rozmyślnie i nie zrodzonych z literackiej fikcji, znajdziemy tu wielu, już choćby tylko wśród pacjentów i personelu szpitala, w którym cierpiał i walczył z sobą Meresjew. Głęboko utrwali się w pamięci czytelnika piękna i szlachetna postać śmiertelnie chorego komisarza, który swą mądrą, czujną dobrocią otacza, aż do ostatniego tchnienia, współtowarzyszy na sali szpitalnej. Pełne wyrazu, po ludzku prawdziwe, a nieprzeciętne w swych wartościach moralnych są postacie czołgisty Gwozdiewa, wyborowego strzelca — Stiepana Iwanycza, lotników Struczkowa i Kukuszkina, kierownika szpitala — Wasyla Wasyljewicza, pielęgniarki Kławdii, młodej medyczki Aniuty, wreszcie — by zakończyć to niekompletne wyliczenie, narzeczonej Meresjewa — Oli, którą poznajemy zresztą tylko z jego listów i wspomnień.

Trzeba podkreślić, że opisy leśnej przyrody (w pierwszej części opowieści) odznaczają się wielką plastyką i malowniczością; na ich tle dramatyczna wędrówka Meresjewa nabiera szczególnej ekspresji. Rozterki duchowe Meresjewa w szpitalu potraktował autor bardzo wnikliwie pod względem psychologicznym, z należytym respektem dla wielkości ducha swego bohatera, opierając się zresztą na jego własnych wspomnieniach i wyznaniach. Wszystkich wartości „Opowieści" Polewoja nie może rzecz jasna, odtworzyć znana publiczności polskiej przeróbka filmowa. Przekład tej książki był koniecznością wydawniczą, jest to jedna z najwybitniejszych pozycji naszej literatury przekładowej bieżącego roku. Tłumacz wywiązał się z bardzo odpowiedzialnego zadania sprawnie i starannie, zachowując literackie walory oryginału. Bolesław Dudziński

*) Borys Polewoj: „Opowieść o prawdziwym człowieku". Przełożył Józef Wyszomirski, okładkę projektował Zbigniew Rychlicki, — Warszawa, „Książka i Wiedza", 1949 — str. 337 i 3 nl.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Janina Przeworska — Początki pracy ludzkiej. — Wyd. Spółdz. „Światowid", Warszawa 1949, str. 163.

Paweł Szebunin — Kurhan Mamaja — przeł. z rosyjskiego M. Bielicki. Wyd. „Prasa Wojskowa", Warszawa 1949, str. 289.

Helena Iljina — Czwarte zwycięstwo, przeł. z rosyjskiego J. Poraska. Wyd. „Prasa Wojskowa", Warszawa 1949, str. 266.

Od Lenino do Berlina — Pieśni — Inscenizacje — Utwory poetyckie — Fragment prozy. Wyd. „Prasa Wojskowa", Warszawa 1949, str. 176.

Maksym Gorki — Matka — przeł. H. Górska, wybrał i opracował J. Rychlewski. Wyd. „Prasa Wojskowa", Warszawa 1949, str. 137.

Tadeusz Kubiak — Rzecz o trasie W—Z. Wyd. „Prasa Wojskowa", Warszawa 1949, str. 15.

Piotr Werszyhora — Ludzie o czystym sumieniu (w partyzanckim oddziale), — przeł. z rosyjskiego L. Lewin, wybrała i opracowała J. Skarżyńska. Wyd. „Prasa Wojskowa", Warszawa 1949, str. 96.

B. Baranowski, W. Bortnowski, W. Lewandowski — Dzieje wojskowości polskiej do roku 1831. Wyd. „Prasa Wojskowa", Warszawa 1949, str. 291.

Lud — Organ Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Nakł. Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego w Lublinie, Kraków — Lublin 1948, str. 773.

Michał Priszwin — Opowieść o dzieciach i zwierzętach — tłumaczyła z rosyjskiego Maria Kowalewska. Wyd. Spółdzielnia Wydawnicza „Współpraca" — Warszawa 1949 r.

Edward Lgocki — Między Watykanem a Polską. Nakł. autora, Warszawa 1949 r., str. 199.

Ira Wolfert — Banda Tuckera — przeł. R. Czekańska Heymanowa. „Czytelnik", Warszawa, 1949 r., str. 447.

Ewa Szelburg-Zarembina — Rycerze Tatr — ilustr. H. Krajewska. „Czytelnik", Warszawa, 1949 r., str. 34.

W. Bianki — Myszka Pik — przeł. H. Jarmolińska. „Czytelnik", Warszawa, 1949 r., str. 47.

Wiktor Hugo — Han z Islandii — „Czytelnik Biblioteka Romansów i Powieści, Warszawa, 1949 r., str. 59, zeszyt III.

APEL ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Zarząd Główny Związku Literatów Polskich, przygotowując do druku dzieło pamiątkowe „Straty literatury polskiej, 1939-1945", obejmujące życiorysy pisarzy polskich zmarłych podczas ubiegłej wojny, zwraca się do wszystkich krewnych, przyjaciół i znajomych zmarłych pisarzy z prośbą o nadsyłanie Redakcji wszelkiego rodzaju informacji, dokumentów itp. materiałów dotyczących życia i twórczości tych pisarzy, ze szczególnym uwzględnieniem lat wojennych.

Wszelkie informacje należy przesyłać pod adresem Zarządu Głównego Z. L. P. (Warszawa, Al. Stalina 35), na ręce J. W. Gomulickiego.

TREŚĆ NR 37

Aleksander Jackiewicz — Światła kopalni „Grodziec"; **Zygmunt Mycielski** — O zadaniach Związku Kompozytorów Polskich; **Mieczysław Jastrum** — Ariel w podróży; **Aleksander Błok** — Rosja; **Aleksander Czurkin** — Ojczyzna; **Stanisław Ryszard Dobrowolski** — Wieczór pod Drewnicą; **Stanisław Wygodzki** — Czy napiszę powieść; **Jak Kott** — Narodziny powieści, albo o Danielu Defoe, II Kapitalizm na bezludnej wyspie; **Stefan Żółkiewski** — Dwa bieguny realizmu; **Stanisław Powołocki** — Z radzieckich doświadczeń świetlicowych; **Stanisław Szenic** — Bettina Arnim i Polacy; **bd** — Na półkach księgarskich; **Prostaczek** — Względy dla specjalistów czyli łopatologia Kisiela; **Przegląd prasy; Korespondencja; Noty.**

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 12a (Frascati 1) pokój 413, IV p. tel. 4-01-80, w. 45 Adres administracji, Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 80.—: kwartalnie zł 240.—: półrocznie zł 480—; rocznie zł 960.— Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-10900. Adres prenumeraty: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16.

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 B-84198